# PRZEBUDZENIE.

Duch mój nieszczęsny w zwątpieniu się błąka
Na co stworzyłeś mię Panie?
Gdybyś był raczéj ulepił pająka,
Snułby choć siatki po ścianie.

Tkanka pajęcza niby nic do rzeczy,
A przecie środek doznany:
Jeśli żelazo Twe dziecię skaleczy,
Krwi upływ tamuje z rany.

A moje dzieła? Na co jak dla świata
I dni i noce mi biegą?
Na co przez wieczne miesiące i lata
Pożeram siebie samego?

Kształciłem rozum, by stał się pokutą,
Męczeńską piłą drewnianą;
Czuliłem serce, by snadniéj zatruto,
Zmięto i w błoto wdeptano.

Włos nasz policzon pilnością Twéj ręki,
Dajesz mu wzrost i upadek:
Samem ja winien, żem wydan na męki
Nierozwikłanych zagadek.

Duch się w nich plącze—plącze aż obłąka...
I cóż przybędzie ztąd Panie?
Raczéj zrób zemnie drobnego pająka,
Niech snuję siatki po ścianie.

# PRZYGODY NOWO PRZYBYŁEGO DO AMERYKI.

przez **Karola Dickensa.**

Tłomaczone z angielskiego przez **M. S'.**

— Pan jesteś zapewne anglikiem i jak się zdaje pierwszy raz przybyłeś do Stanów Zjednoczonych?

Pytanie to uczynione mi było z akcentem właściwym mieszkańcom Nowéj Anglji, przez eleganckiego pana wchodzącego do salonu hotelu pułkownika Pegler, w Pensylwanji, gdzie ja właśnie byłem; lecz on nie przybył tak skromnie jak ja w publicznym pojeździe, lecz w kabriolecie, który sam powoził. Był to człowiek przystojny, wysoki, brunet, ze spojrzeniem ciekawem, cerą ołowianą.

— Czy Pan rozkaże sobie podać obiad, zapytał garson hotelowy, murzyn, który wszedł, nim ja miałem czas odpowiedzieć, że rzeczywiście po raz pierwszy przepłynąłem wody Atlantyku. Nowo przybyły przystał na obiad, przejrzał kartę potraw i win i wyszedł dla zrucenia z siebie, jak mówił, warstwy piasku, jakim go drogi Pansylwanji pokryły.

Murzyn Cycero powtórzył jego rozkazy w kuchni, sam zaś wrócił do swego ulubionego zajęcia, to jest do patrzenia przez okno i zabijania serwetą mustyków. Obejście nowego gościa zrobiło na nim wrażenie z którem się nie taił.

— Pewno to wielki pan, mówił do siebie; konie najpiękniejszéj rassy, pojazd prześliczny, zaprzęgi z platerowanego srebra. Nie często widzimy podobne w téj naszéj dziurze, którą zwą Lockhaven. Nie cierpię Lockhaven i muszę powiedzieć memu panu, że nie zostanę tu dłużéj jak do końca miesiąca. Ja jestem z północy i oszczędnych zwyczajów południa znosić nie mogę.

Cycero nie wątpił, że nowy przybyły był co najmniéj gubernatorem lub naczelnikiem którego z pierwszych domów handlowych Nowego Jorku. Skoro jednak przedmiot jego uwielbień pokazał się przebrany według najświeszéj mody, Cycero przerwał swe domysły i pobiegł do kuchni przynieść indyka, zwierzynę, szynkę, rybę z jarzynami, które składały najwykwintniejszy obiad, na jaki się mógł zdobyć hotel Peglera. Przyniósł do tego butelkę staréj Madery, amerykanin zaś połknął szybko swój obiad, i znów zadał mi pytanie:

— Pan podróżujesz jako turysta?

— Nie koniecznie, odparłem z niejakiem wahaniem, jako bowiem nieprzyzwyczajonemu do tego co mnie otaczało, smutno mi było i sześć tygodni spędzonych w Ameryce były dla mnie pasmem nudy i zawodów. Czułem, że oczy nieznajomego wlepiały się we mnie z ciekawością, którąby się w Europie impertynencką nazywała, mogła jednak na drugiéj pół kuli być zupełnie naturalną.

— Pozwól Pan ofiarować sobie szklaneczkę tego wina, jest ono wcale nie złe, lubo nic a nic do Madery niepodobne, rzekł mój zaimprowizowany przyjaciel, widząc że się zabieram do wyjścia. Uczyniłbyś mi Pan najwyższą grzeczność, dodał tonem uprzejmości pełnym, gdybyś mnie nie odmawiał swego towarzystwa i nie pozostawiał samego w wioskowym hotelu.

Nie chcąc uchodzić za niegrzecznego przyjąłem ofiarowane sobie krzesełko i kieliszek. Amerykanin przestał zadawać mi wprost pytania, jak dotąd czynił, lecz badał mnie tak zręcznie i delikatnie, żem się wyspowiadał przed nim szczerzéj, niżem się spodziewał.

Jakkolwiek młody, nie lubiłem zwierzań, ale ten miły cudzoziemiec umiał mnie zjednać pozorami najżywszéj sympatji, które mnie tem bardziéj ujęły, żem był sam jeden w obcym kraju, gdziem dotąd same zawody i oziębłość spotykał.

Przyznałem się mu tedy, żem od dzieciństwa nawykł uważać się za dziedzica majętnego stryja, ale że zaszły między nami zatargi, których powód nie zdaje się być z mojéj strony, wolałem zatem wyrzec się sukcessji, niż się poddać niesłusznym wymaganiom i przybyłem do Ameryki, aby zrobić sobie jaką pozycję. Lecz mimo przywiezionych listów rekomendacyjnych, nie powiodło mi się nigdzie umieścić i nic mi już nie pozostaje jak poszukać obowiązku professora matematyki na jakiéj pensji.—Amerykanin pokiwał głową.

— W naszéj prześwietnéj Rzeczypospolitej, mówił, nie wiele sobie robią z professorów. Dwie są tu potęgi: magistratura i kupiectwo. One prowadzą do kongresu, do senatu, do najwyższych urzędów w dyplomacji, do prezydentury nawet, słowem do wszystkiego. W magistraturze nie mam żadnych wpływów ale... w handlu... przyjąłbyś pan posadę komisanta wielkiego kantoru?

I objaśnił mi zaraz, że byłoby moim obowiązkiem podróżować, robić kupna i sprzedaże, wymianę towarów, obstalunki korzystne i t. p.

— To jest to, co my nazywamy komiwojażerem, rzekłem.

— Tak jest, tylko ponieważ mieszkamy w kraju światła i prawdziwéj swobody, położenie pańskie będzie tu daleko świetniejsze, niżby było w Europie. W naszym domu handlowym wakuje podobna posada—miałbyś Pan 1200 dolarów rocznie, jeden od sta procentu od sprowadzonych przez jego gorliwość zysków, a na koszta podróży tyle, ile dostają członkowie kongresu.

I podał mi glansowny bilet, na którym złotemi literami stało: *Petter Latch i Jarman 4 ulica, Nowy Jork.*

— Dawaj wina! krzyknął potem na garsona—objaśniając mi, że ta firma trudni się handlem najrozmaitszych przedmiotów, począwszy od fiszbinów i stalek na krynoliny, do materji Lyońskich—A mamy też na Zachodzie, dodał, rozpoczęty ważny interes, który pann da pole pokazać swoją umiejętność.

Jeszcze druga butelka wina nie została wypróżnioną, kiedy już byłem zupełnie zaangażowany jako komisant firmy *Petter et Comp.* pod warunkiem, że wiadomości jakich o mnie zasięgną, będą zadawalniające. Miałem powody liczyć, że osoby do których miałem listy, nie zrobiwszy nic wprost dla mnie, zechcą przynajmniéj dać dobre rekomendacje.

Mówiłem z samym p. Anibalem Petter który zadecydował, że udam się wprost do Cincinnati, gdzie poczekam na pieniądze, które mi dom handlowy tamże nadeszle. Miałem tam kupować za gotówkę wielką ilość produktów żywności, jak mąkę, kartofle, solone mięsa i to wszystko w co Zachód obfituje i co tam miało właśnie spaść z ceny, z powodu wielkiego dowozu. Firma już porobiła wstępne układy z domami angielskiemi, o dostawienie dwóch ładunków tych produktów do Londynu.

W końcu p. Petter zmusił mnie do przyjęcia kilkunastu banknotów.

— Bierz, bierz kochany panie, mówił, pamiętaj że podróżować będziesz naszym kosztem. Przybywszy do Cincinnati, stań w hotelu *Prezydenta*, tam ci nadeszlemy potrzebne na kupna summy. A gdy pan przyjedziesz do Nowego Jorku, będę miał przyjemność przedstawić cię naszym spólnikom. Latch ma dom prześliczny, a jego żona jest nader przyjemną tegoż gospodynią. Jarman jest jak ja

bezżenny. Jestem pewny z góry, że pochwalą układ który z panem zawarłem, a którego sobie serdecznie winszuję. Ale już szósta, dodał spojrzawszy na zegarek, muszę uciekać— żegnam cię panie Hill.

I Annibal Petter oddalił się, zostawując mnie w niemem podziwieniu, nad nadzwyczajnem mojem powodzeniem.

Wsiadłem na statek parowy, gdzie znalazłem pełno ludzi należących do mojéj nowéj professji, lecz żaden z nich nie znał naczelników mojéj firmy. Wprawdzie, zrobił uwagę jeden mieszkaniec Filadelfji, Nowy Jork rozrasta się tak szybko i kolosalnie, że można łatwo nie wiedzieć o nie jednym domie handlowym świeżo założonym.

— Jednakże jedno z tych imion, jest mi znane, mówił daléj tenże filadelfijczyk zamyślając się. Tak... Latch... był żwawy chłopak tego nazwiska cyrulikiem na statku *Jefferson*, który odbywał podróż po rzece Missouri. Nie sądzisz pan, żeby to był ten?

— Zapewne że nie, odrzekłem prawie zgorszony pytaniem. Nie mam zaszczytu znać osobiście pana Latch, lecz sądzę, że to jest człowiek bogaty, a jego żona...

— Patrzcie! właśnie ten Latch miał żonę, nie żeby było w tem co dziwnego, lecz że pani Latch nie miała sobie równéj w kradzeniu małych murzynków. Miała taki dar pozyskać sobie matki pięknemi słowami, nie była bowiem bez pewnéj edukacji, że sama na siebie ukradła więcéj dzieci wolnym murzynom z Ohio, niż wszyscy handlarze niewolników w téj okolicy. Przyszło do tego, że musieli zmykać, bo powietrze stawało się dla nich w tem miejscu *niezdrowe*, ale nigdy ich nie złapano. Były to zręczne łotry.

Mieszkaniec Filadelfji oddalił się przyśpiewując, a mnie dziwny ogarnął niepokój. Lecz skoro pierwsze wrażenie minęło, przekonałem samego siebie, że nic nie mogło być wspólnego między tym cyrulikiem ladaco, a bogatym spekulantem, w którego biurze dostałem zajęcie. Jakże można było, nawet przez chwilę, wziąść za jedno, jego żonę tak miłą, tak zajmującą, z tą awanturnicą wyćwiczoną w kradzenie dzieci murzyńskich? Co za różnica między moją podejrzliwością a szlachetnem zaufaniem pana Petter, który tak hojnie zapełnił moją kieszeń dollarami. Zarumieniłem się, że mogły mi przyjść jakieś wątpliwości i unikałem odtąd owego mieszkańca Filadelfji.

Miałem nareszcie pozycję i nie czując się odosobniony mogłem używać przyjemności towarzystwa amerykańskiego. Większa część pasażerów na naszym statku znała się; większa ich część udawała się do Cincinnati, z tych jeden, redaktor *Argusa*, o którym to dzienniku, wyznaję ze wstydem że nigdy nie słyszałem, przedstawił mnie kilku bladym pięknościom, które wraz z nami podróżowały, między innemi pani Pook, królowéj mody w Cincinnati, jak ją nazwał mówiąc, że jéj wieczory bywają rzadkiéj świetności, a jéj uprzejmość i gościnność niezrównane.—Major Pook mąż jéj, znakomity obywatel, robi wielkie interesa handlowe, dostarcza żywności wsiom całym, jest także jednym z właścicieli *Argusa* i dodał, będzie Panu mógł o całej okolicy dokładnych udzielić wiadomości.

Ukłoniłem się z uszanowaniem p. Pook, która mi się przyglądała przez swe szafirowe konserwy, podczas kiedy jéj trzy córki przyjemnie się do mnie uśmiechały.

— Będzie mi miło widzieć pana na moich wieczorach, jeżeli pan czas jakiś zabawisz w Cincinnati, rzekła pani Pook z właściwym sobie akcentem. I dowiedziawszy się, że przybyłem zaledwie do Ameryki, gdzie nie mam ani krewnych, ani znajomych, okazała mi uprzejmość i opiekę prawie macierzyńską.

Przepędzałem czas mój w Cincinnati bardzo wesoło, dopóki nie nadeszły instrukcje od moich pryncypałów. Hotel, gdzie mi kazali stanąć, był ciągle napełniony gośćmi, a oprócz tych, znajomości porobiłem jeszcze inne na mieście.

Na drugi dzień po przyjeździe byłem zaraz proszony na wieczór do pani Pook, gdzie byłem przedstawiony jéj mężowi, tudzież miałem zaszczyt tańczyć kontedansa z ich najmłodszą córką, panną Abigail, która mi się więcéj wypytywała o arystokrację i dwór angielski, niż byłem w stanie ją objaśnić.

Czwartego dnia major zaprosił mnie na obiad i ofiarował mi swoją pomoc w interesach, które mnie w Cincinnati zatrzymywały. Chyba, dodał, że pan potrzebujesz nabywać to czem ja handluję.

Zapewniłem go, że zupełnie mu w drogę wchodzić nie będę i tem chętniéj jego pomoc przyjąłem, że mi już nadeszły z Nowego Jorku paczka baknotów i instrukcje, w których mi wskazywano, żebym się w zakupach moich, radził jakiego obywatela obeznanego z miejscowością, a bezinteresownego w téj kwestji.

— Z wielką przyjemnością, mówił mi major, będę panu towarzyszył na statku w poniedziałek, aby mu ułatwić stosunki, z niektóremi fermerami i handlarzami bydła; mogę pana zapewnić, że mi to nie zrobi najmniejszego kłopotu, gdyż dla moich własnych interesów potrzebuję się zatrzymać w Madison, w Tenedos, w Amelja.

Następnie dał mi kilka objaśnień co do charakteru mieszkańców. Poczciwi ludzie, mówił, ale nie radziłbym nikomu ich obrażać. Chcesz pan z niemi zrobić jaki układ, to im od razu powiedz swoją cenę i nie odstępuj. Na nic się nie przyda mamić ich jakimkol-

wiek bądź sposobem, nie cierpią bowiem podstępu. Wasi mądrale z Nowego Jorku, dostali już nie raz od nich gorzką naukę, skoro ich odrwić chcieli.

Obecność majora ułatwiła mi niezmiernie wszelkie kupna. Patrzyłem z przyjemnością na tę piękną i silną rassę ludzi, przypominającą śmiałych awanturników co pierwsi osiedlili się w Nowéj Anglji, lecz znalazłem w ich rysach jakiś odcień dzikości, w ich obejściu coś opryskliwego, co mi się domyślać kazało, że są bardzo obraźliwi.

Robota moja nie była uciążliwą, wszystko bowiem gotówką płaciłem, wypytawszy się wprzód o zwykłe ceny majora, a skoro mój olbrzymi pugilares okazał się pustym, miałem tyle wieprzów żywych, tyle beczek solonego mięsa, tyle worków kukurudzy, pszenicy i tatarki, żebym niemi mógł zgłodniałe miasto nakarmić. Według tego jak mi przepisano nająłem statek, który miał to wszystko spławić rzeką, aż do pewnego portu w Wirginji, gdzie już dla odebrania ładunku i przesłania go do Baltimory i Londynu, czekał drugi ajent naszéj firmy.

Dotąd szło wszystko dobrze, jedna mnie rzecz tylko dziwiła, że zamiast mi kazać odwieść na miejsce ładunek, pisano, żeby pozostać w Cincinnati, dając do zrozumienia, że mi będzie powierzony ważny interes w prowincjach południowych i że płaca moja będzię powiększona, w miarę gorliwości jaką okażę.

Wyprawiwszy zatem to com zakupił, przechadzałem się na statku paląc cygaro.—Więc tedy skończyłeś pan swój interes, i doskonale, mówił do mnie major. Nigdy jeszcze tak piękna nierogacizna nie była kupiona za tak niską cenę, a mąka pszenna jest najpierwszego gatunku. Ten stary Dan Wormald to między handlarzami, prawdziwy diament nieszlifowany.

Porównanie to bardzo przypadało do osobistości Dan Wormalda; wysoki, chudy a silny, w ubraniu pierwotnych pionierów Ameryki, miał przy sobie nóż oprawny w rękojeść z rogu i strzelbę na pięć stóp długą.

— Jest to człowiek, rzekłem, którego nie chciałbym mieć za nieprzyjaciela. Ale co tam za zamieszanie, czy czasem kto się nie topi...

Domysł mój był, niestety! prawdziwym, usłyszeliśmy krzyki kobiet i cała ludność statku zbiła się po jednéj jego stronie, z któréj biedna, mała, sześcioletnia murzynka wpadła w rzekę. Widzieliśmy przez chwilę jéj sukienkę po nad wodą, a ojciec szpetny, skurczony człowieczek, trzymając na plecach kosz pełen narzędzi ciesielskich, pochylał się ku wodzie krzycząc i błagając, żeby ratowano jego *Polly*.

— Każdy dla siebie, szepnął jakiś amerykanin przy mojem uchu, rzeka jest teraz wezbrana jak potok i nie byłoby roztropnem puszczać się na nią.

Reszta towarzystwa zdawała się to zdanie podzielać. W tejże chwili dostrzegłem biedną dziewczynkę powracającą na powierzchnię i temu rozdzierającemu widokowi oprzeć się nie mogłem. Zruciwszy suknie, wskoczyłem do wody i schwyciłem dziecko, lubo jednak dobrze pływać umiałem, długo mnie prąd unosił, zanim mogłem dostać się na statek.

Wszystko to jednak nie trwało nad parę minut; wróciłem na pomost cały zmoczony, nasz statek już był w pełnym biegu, a cieśla murzyn przyciskając swe dziecko do piersi, ogłuszał mnie hałaśliwemi oznakami swéj wdzięczności.

— O! panie angliku wołał, Job ci bardzo dziękuje—biedny murzyn taki ci wdzięczny! Nikt nie wie jak jest drogą mała Polly dla starego Joba, to jedyna radość jego w życiu, od czasu jak żonę pochował. W czasie ucieczki z Alabama, któż ją niósł przez całą drogę, po bagnach i...

— Dobrze, mój przyjacielu, przerwał mu p. Pook chcąc mi przyjść w pomoc, szczęście, że się tylko na kąpieli skończył ten przypadek. Zejdź teraz do siebie i popchnął go zlekka ku drabinie prowadzącéj do oddziału murzynów. Gdy odchodził, kłaniając się nam jeszcze, postrzegłem że kuleje, a więc choćby umiał pływać, co jest rzadkością w Ameryce, toby jeszcze nie mógł dziecka swego ratować. Co do mnie poszedłem za popędem serca ocalając istotę ludzką w niebezpieczeństwie i nie troszcząc się czy ta istota ma skórę białą czy czarną, jakkolwiek zatem nie szło mi o poklask, urażały mnie jednak szyderstwa niektórych pasażerów, którzy półgłosem obwiniali mnie o donkiszotyzm, żartując z tego żem ocalił życie murzynce.

W pół godziny wróciliśmy do Cincinnati, gdzie zmieniłem ubranie, napiwszy się wprzódy wódki na prezerwatywę od kataru. Wszystko dotąd szło dobrze, wyprawiłem cały transport towarów i czekając na nowe polecenia, przyjemnie czas trawiłem. Dwa razy spotkałem Joba czarnego cieślę na ulicy i wyznaję, że go trochę ostro traktować zaczynałem, tak mi się uprzykszał swojemi hałaśliwemi oznakami uwielbienia i wdzięczności, a kto wie, czy oprócz tego, że my anglicy nie lubimy publicznéj wystawy uczucia, nie podziałały już na mój umysł uprzedzenia amerykańskie względem murzynów.

Tego samego jeszcze tygodnia, w Sobotę, byłem zaproszony do p. Pook na obiad, na godzinę drugą. Sobota jest dniem ożywionym w Cincinnati, z powodu targu, który ściąga wiele osób ze wsi okolicznych.

Oprócz mnie było kilku innych gości, obiad był w połowie skończony, gdy doleciał do uszu naszych hałas szczególny, dający się słyszeć pomimo turkotu kół i tętnienia końskich kopyt; było to jakby odgłos kroków gromady ludzi, pomieszany z ich krzykami. Gospodarz kładąc widelec, rzekł zamyślając się: To jakaś manifestacja, a przecież nie jesteśmy w epoce wyborów...

W téj chwili drzwi się otworzyły i nędzny chłopak irlandczyk, który czyścił buty w hotelu gdzie stanąłem, wpadł dysząc zaledwie i wołając przerywanym głosem:

— Panie Hill, uciekaj pan, nim dom otoczą, oni będą bez miłosierdzia...

Zostaliśmy jakby piorunem rażeni usłyszawszy te słowa. Tysiące pytań uczyniono biednemu chłopcu, który nie odpowiadając na nie wołał tylko: Zamordują pana, zamordują!... Przed chwilą byli w hotelu, teraz i tu trafią, zaledwie zdołałem przybiedz żeby pana uwiadomić, byłeś tak dobry dla mnie.

Nim jednak skończył, nim nawet odgadnąć mogłem o co chodziło, gromada ludzi uzbrojona w strzelby, siekiery, sztaby żelaza, ukazała się przed domem. Na czele stał Daniel Wormald machając wściekle swą strzelbą i krzycząc jak drudzy.

— Stało się jakieś nieszczęście, rzekł gospodarz i podchodząc do okna zapytał śmiało o co chodziło.

— To Pook, niech żyje Pook! wołał jeden, podczas gdy drugi radził, żeby mu głowę ze skóry obedrzeć. To on nam przyprowadził anglika i pewno się z nim dzielić będzie.

— Anglika nam wydajcie, bo z waszego domu kamień na kamieniu nie zostanie, krzyknęło ze dwadzieścia głosów.

— Panowie!... zawołałem biegnąc do okna... lecz przerwały mi wściekłe wołania i cofnąłem się machinalnie. Tymczasem stary Wormald, rozbijał siekierą drzwi wchodowe.

— Oddaj go pan, szepnął do majora jeden z gości.—Wkrótce drzwi pękły i rozjuszona tłuszcza wpadła do domu. Życie moje przez chwilę zawieszonem było na włosku. Bito mnie, szarpano, popychano na prawo i lewo. Gospodarz z roztropnością i odwagą zdołał otrzymać chwilkę milczenia i zapytał o co mnie obwiniają?

— Okradł nas, zawołał Wormald zaciskając swe kościste palce w około mojéj szyi. Okradł nas ale nam to zapłaci!

— Nie okradłem was, nie ukrzywdziłem na szylinga, wyjąkałem z trudnością, bo byłem zduszony.

— Powiesz to sędziemu, krzyknął jeden majtek usiłując uderzyć mnie w głowę sztabą żelaza. Lecz p. Pook go wstrzymał, wzywając do porządnego wypowiedzenia o co chodziło.

— Patrz pan, rzekł wtedy Wormald, wyciągając z kieszeni paczkę wygniecionych banknotów, oto jest to co mi dał twój przyjaciel. I tak zrobił wszystkim. Ci panowie z Nowego Jorku sądzą, że można bezkarnie oszukiwać pracowitych mieszkańców Zachodu. Zabierają im owoce ich trudów, a zostawują w zamian papierki, dobre co najwięcéj do zapalenia fajki.

— Więc utrzymujecie, że te banknoty są fałszywe, zawołałem i rumieniec oblał twarz moją.

— Wiesz ty to sam tak dobrze jak my, odpowiedział jeden z nich, nazywając mnie psem anglikiem. Drudzy dorzucali nie mniéj obelżywe przydomki i napróżno usiłowałem wykazać moją niewinność, sam nawet gospodarz usunął się odemnie. Rzeczywiście bowiem, memu tłomaczeniu brakowało nawet prawdopodobieństwa, zkąd oni mieli uwierzyć, że ja byłem tylko kozłem ofiarnym szalbierzy? rozjątrzonym przez poniesione straty, przypadało raczéj posądzać mnie o spólnictwo z niemi. Nie było tak srogiéj kary żeby mnie jéj zadać nie pragnęli.

— Rzućmy go w Ohio, wołali jedni, powieśmy, przerywali drudzy—oto jest latarnia. Wormald dowodził, że widział ludzi palonych za daleko mniejsze przestępstwa i że szubienica była jeszcze zbyt lekką dla mnie karą.

W tych okolicznościach jedynie opieka pani Pook ocaliła mi życie. Ona jedna wierzyła w moją niewinność i broniła mnie z gorliwością, któréj się nikt oprzeć nie mógł. A że ją szanowano i kochano, bo wiele dobrego świadczyła ubogim ludziom, zrobiła tyle, że mnie ani powieszono, ani utopiono na razie, tylko zawleczono do magistratu potrącając i szarpiąc.

Stanąłem przed kratką oskarżonych w najokropniejszym stanie—powalany krwią i błotem.

Urzędnicy z wielką trudnością zdołali zaprowadzić porządek, żeby mnie módz pytać. Banknoty przyniesione i poddane badaniu biegłych okazały się fałszywemi. Doskonale wykonane, mogły łatwo zwieść nieświadomych wieśniaków i dopiero wtedy poznane, gdy ci chcieli je wymienić u bankierów.

W około mnie widziałem tylko twarze niechętne. Ci nawet, których moralność pod względem oszukaństwa, nie była bardzo skrupulatna, pogardzali mną jako niezręcznym, zupełnie tak jak spartanie pogardzali złodziejem schwytanym na gorącym uczynku. Słyszałem koło siebie szepczącego człowieka, że myśl była dobrą, tylko żem ją źle przeprowadził. Jakkolwiek nikt nie zdawał się wierzyć moim dowodzeniom żem niewinny, magistrat zdecydował, że nie mogę być sądzonym w miejscu, i miałem czekać w więzieniu sądów ogólnych, jakie się wkrótce zebrać

miały. Eskorta która mnie prowadziła, zaledwie zdołała mię obronić od napaści ludzi którzy mię obsypywali złorzeczeniami; nareszcie oficerowie potrafili utorować mi drogę do statku, gdzie się moje męczarnie jeszcze nie skończyły, albowiem kilku fermerów mieszkało w Madisson gdzie było więzienie i płynęli z nami; między niemi był Wormald który mię z oka nie stracił, a gdy mię do więzienia zamykano, odezwał się do mnie na pożegnanie, uderzywszy w strzelbę: niechciałem tam robić nieprzyjemności pani Pook, ale nie myśl mój panie, że nam się na sucho wyśliźniesz. Wykradłeś odemnie 40 wieprzów, 80 beczek jabłek, 200 worków pszenicy i w dodatku twoi wspólnicy śmieją się jeszcze ze mnie, ale jeżeli cię porządnie sąd nie ukarze, wymierzę sobie sam sprawiedliwość kawałkiem ołowiu, i to tak prawda, jak że Bóg jest w niebie, i jeźli się wyśliźniesz sprawiedliwości, to mnie się nie wyśliźniesz, a za moje wieprze, będę miał twoją krew!...

Pobyt mój w więzieniu Madisson był nader smutny, nikt mię ani odwiedził, nikt nie napisał do mnie, a myśl żem tak łatwowiernie stał się ofiarą łotrów, którzy dzielili się wesoło zyskiem, podczas kiedy moje życie było w niebezpieczeństwie i moje imię splamione, powiększyła moją rozpacz. Smutno mi też było pomyśleć o stratach ludzi, których oszukałem mimowoli; nie było jednak sposobu uniewinnienia się. W więzieniu miano mnie za największego złoczyńcę i słuchać nawet nie chciano, odmawiano papieru i atramentu, mówiąc: że jak nadejdzie czas sądu, będę się mógł naradzać z adwokatem. Zresztą nie mogłem na nich narzekać, żywili mię porządnie i dawali wszelką wygodę. Wprawdzie, zostawała mi jeszcze nadzieja usprawiedliwienia się przed sędziami, ale wtedy czekał na mnie Wormald ze swoją strzelbą.

Już trzy dni trwało moje więzienie, gdy czytając przy świetle zakopconéj lampy, usłyszałem w ścianie drzewa szmer podobny do drapania szczura; w stanie rozdrażnienia w jakiem byłem, zniecierpliwiło mię to, i schwyciwszy taboret zacząłem nim bić o ścianę. Udało mi się na chwilę odzyskać spokojność i słyszałem już tylko szmer wody, płynącéj pod mojem więzieniem. Skoro jednak przyniesiono mi wieczerzę i na noc zamknięto, szczur wziął się znowu do roboty, z większą wprawdzie ostrożnością ale wytrwale, aż dopóki nie usłyszałem słów: cicho panie, cicho, nie mamy czasu do stracenia. Odwróciłem się, i dostrzegłem, w co tylko w przewierconym otworze, poczciwą twarz biednego Joba, cieśli.

Zerwałem się z krzesła wydając okrzyk przerażenia; murzyn spojrzał na mnie przestraszony i przyłożył palce do ust.

— Pan ocalił życie małéj Polli i Job nie zapomni nigdy co mu jest winien. Anglik jest w więzieniu i wszyscy jego biali przyjaciele opuścili go, Job jest tylko biednym murzynem, a przyszedł go uwolnić; i znowu zaczął pracować nad powiększeniem otworu.

— Mój przyjacielu, rzekłem, przypominając sobie z boleścią, ilem go razy ofuknął. Niebędę mógł korzystać z twojéj wspaniałomyślności, muszę czekać aż mię sądzić będą, inaczéj powiedzą żem winien.

— Nie, nie, panie, oni są rozjuszeni i chcą się zemścić, czy anglik winien czy nie. Późniéj jak się uspokoją, możesz się pan usprawiedliwić. Słyszałem Wormalda i innych mówiących, że nie będą czekali do dnia sądu, drzwi wybiją i anglika powieszą na pierwszem lepszem drzewie. I wziął się napowrót do piłowania.

Otrzymawszy taką wiadomość, osądziłem że nie ma co czekać dłużéj, i schwyciwszy drugi koniec piły, połączyłem swe usiłowania dla prędszego zrobienia otworu. Skoro był gotów, Job włożył narzędzia do worka, a sam nadstawił uszy, dochodził bowiem do nas jakiś hałas, jakiś szmer oddalony.

— Tędy panie—Job schował czółno między trzciny, tędy, prędzéj!

Wskoczyliśmy do czółna i robiąc silnie wiosłem, wypłynęliśmy na środek rzeki. Usłyszane wkrótce wściekłe okrzyki i blask pochodni w każdem oknie, oznajmiły nam, że wyłamano drzwi więzienia.

— Dobrze panie, uwinęliśmy się w samą porę. Nie bój się pan, stary Kentuk nie daleko.

Rzeczywiście przybyliśmy wkrótce do przeciwnego brzegu, położonego już w kraju Kentuki. Miałem na sobie jeszcze podarte odzienie, w którem przyprowadzono mię do więzienia, lecz Job był tyle przezornym, że przyniósł odzież z grubego sukna i kazał mi się w nią przebrać, sam zaś musiał wracać co prędzéj do Cincinnati, gdyby się bowiem domyślono że mi ułatwił ucieczkę, mógłby to życiem przepłacić.

Skoro dzień zaświtał, byłem już o kilka mil od Ohio, w pobliżu jakiegoś miasta. Przyciśnięty głotem i umęczeniem, przypomniałem sobie, że nie mam grosza przy duszy, zabrano mi bowiem woreczek prowadząc do więzienia; jednakowoż machinalnie sięgnąłem do kieszeni paltota, w któréj czułem coś ciężkiego i znalazłem rzeczywiście kilka dolarów i trochę drobnéj monety, obwiniętych w kawałek papieru. Łzy mi się w oczach zakręciły... biedny Job, oddał mi może wszystkie swoje oszczędności. Dzięki téj pomocy, mogłem się dostać do Lexington, gdzie znalazłem zajęcie przy jednym z zakładów naukowych. W rok potem, będąc w Nowym Jorku, ośmieliłem się pójść do negocjanta, do którego miałem, przyje-

chawszy, list rekomendacyjny, i powiedziałem wszystko co ze mną zaszło. Petter, Latch i Jarman zawołał, ach! panie wszak to ich sprawa od pięciu dni zajmuje wszystkie nasze dzienniki... jeżeli pan nie chcesz czytać, to powiem panu że są skazani na dożywotnie więzienie; byli to zręczni fałszerze i niebezpieczne łotry, którzy umieli zawsze w porę usunąć się od niebezpieczeństw, na jakie narażali swoje ofiary... Ale p. Hill, zapomniałem—jest tu list czarno opieczętowany, który na pana czeka od trzech miesięcy.

W liście tym donoszono mi żem stracił wuja, że przed śmiercią zmienił niechętne dla mnie usposobienie i mianował mię swoim dziedzicem.

Przed odjazdem z Ameryki spłaciłem wszystkich fermerów, których skrzywdziłem mimo wiedzy, a oni wyznali że byli w błędzie. Nie potrzebuję dodawać, żem w chwili pomyślności nie zapomniał o moim wiernym przyjacielu Jobie-cieśli.

# WĘDRÓWKA PO BESSARABSKIM OKRĘGU.

## III.

*Kamieniec Podolsk, maja 1867 r.*

O zmroku wjeżdżałem do S. ubogiego bessarabskiego miasteczka, zaludnionego przeważnie izraelitami, a że to był dzień sabbatu, przeto wszystko w tym kącie uroczyście wyglądało: niewiasty w jaskrawych materjach poważnie przechadzały się po ulicach, mężczyzni w ciemnych materjalnych kaftanach, wjarmułkach albo czapkach sobolowych siedzieli w niemej zadumie obok domów, pod dachami werend ubierających fronton każdego mieszkania. Smutne są miasteczka bessarabskie w ogóle—wszystkie prawie położone na płaszczyznie, pozbawione zieloności, brudne choć rozrzucone na znacznej przestrzeni, nudzą swoją jednostajnością. Na skraju osady uboga, niziutka cerkiewka widnieje ubrana w zieloną kopułkę, pośrodku nieledwie rynku duży budynek niezgrabny o wielkiej ilości okien—jest to dom modlitwy, bóżnica, szkoła żydowska, do której, jakby do *centrum* zbiegają się szerokie ulice obsadzone domkami; domki w starych dzielnicach miast większych (Chocim, Belcz), niekiedy wzdłuż całej ulicy jednym wspólnym dachem pokryte, stojące zaś na ustroniu mają dachy o dwóch kondegnacjach (zabytek tureckiego gustu); w nowych dzielnicach domostwa już trochę inne, werendy jak tam, tak i tutaj są koniecznym warunkiem—słońce bessarabskie grzeje nieznośnie, pod werendą tylko cień znaleść można, o zasadzaniu bowiem drzew, nawet o ogrodach warzywnych niepomyślano dotąd, ale też oprócz werend nic te nowe budynki nie mają wspólnego z dawnemi, o ile w tych ostatnich unikano okien w ścianach frontowych, wybijano je z widoczną niechęcią, bo małe, krzywe, zakratowane, o tyle w pierwszych cała ściana frontowa z samych się prawie okien składa... dziwna rzecz, ta potrzeba jasnych mieszkań, tylko na północy i południu się spotyka, na północy jest ona uzasadnioną—dnie chmurne, ciemne; ale tutaj—gdzie słońce nieznośnie dokucza, zrozumieć nie możemy takiego przyzwyczajenia, a jednak jest ono ogólnem u kmieci, szlachty, żydów... Fronton domów jest zwykle wązki, wchodzi się doń po stopniach do długiego korytarza, do którego znowu każdy pokój ma drzwi odrębne, tak że domostwo, w każdej chwili zamienić się może w hotel numerowany. Umeblowanie pokojów bardzo skromne, wschodnie sofy (dywany), stanowią sprzęt jedyny; kogo nie stać na materace, ten poprzestaje na szerokich ławach, które pokrywa miejscowego wyrobu kilimkiem; na ścianie lusterko wysoko zawieszone, ale tak, że się w niem przejrzeć niepodobna, na czem się wcale nie traci, dalej taca za uszy przywiązana do ściany, czasem miednica (sic) mosiężna, kilka robót włóczkowych na kanwie papierowej, oprawionych w ramy, na stole samowar dla ozdoby, nie funkcjonujący wcale, bo dotknięty jakąś chorobą, która mu niepozwala być czynnym—i otoż wszystko. Ach! przepraszam, zapomniałem jeszcze o jednym—i bardzo ważnym meblu—o piecu, nie śmiejcie się; miejscowi mularze artyści (bo w dzisiejszych czasach i mularzów tem mianem chrzcić potrzeba, przecie znałem szewca, który się artystą nazywał, w Kamieńcu jest pewien krawiec artystycznie się ubierający, artystycznie robiący surduty i jeszcze coś...), otoż artyści sztuki mularskiej, wysadzają się w mieszkaniach bessarabskich na budowę pieców; opiszmy naprzykład ten—który jest w naszem chwilowem mieszkaniu. Na piedestalu mały czworobok z czubkiem na wierzchu wyobrażającym płomienie, po bokach ubrany w festony wdzięcznie w łuk zagięte—i wszystko to pomalowane na biało, wygląda jak niezgrabny nagrobek postawiony na mogile męża, przez rozpłakaną wdowę, która w połowie roboty już pocieszoną została przez nowego przyjaciela, gotującego się do zawarcia z nią dozgonnych węzłów, więc biedaczka utulona w żalu, począwszy rzecz na większą skalę, rozkładając ją na długie lata, teraz

rada prędzéj dokończyć, by się wywiązać z ostatniego obowiązku dla zgasłego męża, i z wywiązaniem się tem, zapomnić już o nim choćby na zawsze; robota więc idzie lada jako, pomnik mający wyobrażać jéj wielką rozpacz przeobraża się w karykaturę..... Zupełnie tak samo z piecami w miasteczkach bessarabskich; czy artystom braknie cierpliwości, czy właścicielom wytrwałości, rzemieślnik bowiem tutejszy leniwy do wysokiego stopnia, całe długie lato gotów jest jeden taki piec budować.

A kiedyśmy skończyli o mieszkaniach—powiedzmy teraz choć słów kilka o ich mieszkańcach. Izraelici, jakeśmy to wyżéj wzmiankowali, stanowią główny rdzeń ludności miejskiéj; w guberni naszéj jest przynajmniéj trochę chrześcjan w każdém miasteczku, tutaj nie ma ich wcale, izraelita więc stanowi tu wszystko, bawi się handlem, rzemiosłem, ubiera, karmi jak pana tak księcia, często z brudnéj izby miasteczkowéj gospodaruje w dziedzicznéj, albo w dzierżawionéj wiosce sąsiedniéj, trzyma w arendzie karczmy, młyny, stepy, dyżmę (dziesięcinę), jest powszechnie szanowanym i umié być użytecznym dla każdego, z kim go wiąże interes; żyd bessarabski różni się od podolskiego jak niebo od ziemi, ostatni w obejściu zachował usłużność faktorską, dawne przypominającą czasy, nadskakuje, progu się trzyma, znosi pokornie połajanki, za brak poufałości obrazić się gotów, nałazi, dokucza, narzuca się, gniewa, niecierpliwi przybysza, wiedząc że ten za każde słowo nieoględnie mu rzucone zapłaci w końcu z lichwą... bessarabski zupełnie inaczéj i wygląda i zachowuje się: najprzód typ wschodni pozostał w nim niestarty i niezmieniony, przywiązanie do religji i zwyczajów dawnych ogromne (kiedy żydzi po téj stronie Dniestru zrywają pomału z tradycją), obrządki starego zakonu przedewszystkiem, niezepsute żadnym sektarstwem i nowatorstwem, talmudyczna nauka wysokie ma zaufanie, to też izraelita tutejszy we wszystkiem się radzi talmudów, kocha swoich *rabbi*, a do modlitwy z pewną piękną zasiada uroczystością, pojmuje bowiem dosadnie jéj znaczenie; przepisy religijne wypełnia z całą ścisłością niepozwalającą na żadne wyjątki, na żadne łagodzące okoliczności, to też w dzień sądny, kiedy się wszystkie żydostwo skupia w miasteczkach, zamykając handle wiejskie (karczmy, szynki, garnkuchnie dla użytku chrześcjan służące), wówczas możesz przejechać całą Bessarabię z pełnym workiem złota i z głodu umrzeć, bo kawałka chleba niedostaniesz na téj ziemi, chyba zakołatasz do domu posiadacza ziemskiego, prosząc go o gościnność. Ale wróćmy do żyda bessarabskiego: w stosunkach z ludźmi jest poważny, mało mówiący, nie nadskakuje, wymaga by się z nim grzecznie obchodzono, kmieć go panem nazywa, oficjalista albo i obywatel ziemski zawsze co najmniéj w mnogiéj liczbie doń się odzywa— „wy" powszechnie jest przyjęte w rozmowie z żydami; w handlu niema targów i długich gawęd i zaklęć i przysiąg i próśb ze strony kupca; przychodzisz do sklepiku, prosisz o pokazanie żądanego produktu, podobał ci się, pytasz o cenę, za drogo, a często bardzo drogo, naznaczasz mniejszą, żyd się już nie odzywa więcéj, odwraca w inną stronę, zapomniał o tobie, jakbyś wyszedł ze sklepiku; a może się dziwić będziecie gdy wam powiem, że żyd rolnik w stosunku z kmieciami jest sprawiedliwy i często od włościan kochany, bierze co mu się należy, ale chłopa nie krzywdzi, nie wyzyskuje, a stosunek między niemi bliższy, jak między posiadaczem ziemi a koniecznym na niéj dzierżawcą.



Rabin bessarabski.

Wracając do miasteczek bessarabskich—wyznać muszę, że smutno, jednostajnie wyglądają, znać że niedawno powstały, że rozwijają się w niepomyślnych dla siebie warunkach; wszystko co w nich osiada, osiada jakby na chwilę, na popas, by tylko zdobyć trochę grosza (Bessarabja jest rodzajem Kalifornji pod tym względem), i z tym groszem uciec do swego kąta, więc miasteczko, chwilowego targowiska ma wejrzenie. W naszych miasteczkach, także ubogich, są typy ludzi, które mu nadają pewien charakter, pewien odcień właściwy; ot weźmy choćby dla przykładu Kamieniec, zebrałbym tutaj takich typów ludzi całą kopę albo może i więcéj, a każdy do malunku się prosi — każdy to weteran jakiś z przeszłości. Taką postać rozpoznać łatwo wśród tłumu: ubrany trochę dziwacznie, zapatrując się na strój z dzisiejszego stanowiska mody, w jakiś butelkowéj barwy surdut o dużym kołnierzu sterczącym, bufiastych rękawach, krótkim staniku, sterczących kołnierzykach,

a tak podniesionych, że się na nich uszy opierają; mówi mało, a jeżeli mówi—to poczynając od wzmianki o dacie życia przyjemnéj albo smutnéj, która się wyryła w jego pamięci... jeżeli był młody w okresie, kiedy czuby były w modzie, wówczas tego czuba, kiedyś bardzo sutego, dziś ledwie z kilkunastu złożonego włosków pieści i szanuje jak świętość, podtrzymuje go grzebyczkiem z sąsiednich skroni, a nawet z tyłogłowia zapożycza włosów, by go zawiesistszym uczynić; co mu tam, że ten czub w dzisiejszéj elegantce wywołuje uśmiech politowania, co mu tam skoro jego Krzysia albo Marynia, kiedyś przed 40, albo może i więcéj laty, powiedziała mu że on z tym czubem dziwnie miło wygląda, i biedak uwierzył temu bo kochał, i choć swawolnica zdradziła i z innym do życia stanęła, ale on i kochać nie przestał i wierzyć nie przestał, i czuba nosić nie przestał... Oj! te Krzysie, te Marynie—czasem to istne aniołki—a jak zasiądzie która z nich u domowego ogniska z świętem sercem w białéj sukience dobroci i słodyczy, to całe życie wędrowcowi umai, ozłoci i drogę jego tak pokieruje, że ani jeden cierń nie zrani stopy, a znój pracy będzie mu znojem pociechy, bo po trudzie znajdzie obok swojej białéj wytchnienie.... Ale kiedy taka Krzysia inną jest, kiedy... ach! czytelniczki moje, bądźcie aniołkami dla swoich wybranych towarzyszów!



Żyd bessarabski na modlitwie.

Typowy staruszek w naszych miasteczkach zwykle bezżenny (nic tak do dziwactwa jak stare kawalerstwo nie usposabia), najczęściéj urzędnik, emeryt, z dziwnéj gliny miał ulepione serce w młodości, bo choć go taka Krzysia zawiodła, nie przestał ją wielbić i szanować, i wtedy nawet kiedy innemu rękę oddała i przeobraziła się w swarliwą Krystynę, matkę licznego potomstwa, brudno a rozczochrano prezentującą się dawnemu swemu wielbicielowi. To nic nie szkodzi, powtarza sobie w myśli, moja Krzysia inna—i modlić się, i tęsknić do swego ideału nie przestaje, zbudował mu ołtarz, bije czołem przed ulepioną w wyobraźni postacią, z któréj duch uleciał... I kiedy spotkam takiego staruszka na mojéj drodze, zawsze mu się pilnie przypatruję, słucham jego gawędy, z któréj wiele nauczyć się można, wywołuję w nim wspomnienia z przeszłości, bo w nich historja miejscowości zastygła a żywa, świeża kiedyś, drgająca skamieniała i w takiéj formie, wyobrażającéj daną chwilę przechowała się do dzisiaj; może pogląd na nią spaczony, nie nasz, może trochę błędów, upiększeń dodały do niéj lata, ale na dnie, po pilnem a bezstronnem szukaniu, prawda dośledzić się daje... Więc lubię takie typy, tęskno mi, kiedy odbywając wędrówkę po rynku, nie spotkam w danem miejscu postaci dobrze znajoméj, starowina bowiem taki znika ze stanowiska tylko, żeby umrzeć; zostaje po nim samotny towarzysz, bo też w życiu tych ludzi, towarzyskość jest koniecznością, stosunki z młodemi niemożebne, więc się do starych, podobnych sobie garną. Lat jeszcze parę temu, pamiętam dwie takie postacie; o południu w jednym rogu rynku, pod jednem domostwem siadywali oba, o południu słońce dogrzewało w tem miejscu, a właśnie im słońca było potrzeba... Nie byłem kilka dni w mieście, wracam—o zwykłéj porze zastaję tylko jednego...

— A towarzysz gdzie?—spytałem po przywitaniu.

— Do apelu się stawił—tam — i wskazał ręką w stronę cmentarza. I już więcéj o zmarłym nie było mowy—młodość tracąc rozpada się w bólu, w rozpaczy łamie, starość spokojnie znosi krzyż na wiekiem pochylone barki rzucony; czy to doświadczenie lat długich, czy pewność, że się skończą troski wkrótce ze śmiercią, tak je na zgon blizkich obojętną czyni?

I znowu odbiegłem od przedmiotu; kiedy bo mi tak samotnie a długo wlekł się wieczór szabasowy w bessarabskim miasteczku, że mimowoli zacząłem porównywać przyjemności miejscowe z temi, jakie w innych zakątach kraju naszego odnaleść się dają. Z zachodem słońca gwar się wzmagał, żydzi przespawszy sobotę, z nadejściem wieczora rozpoczynali tydzień handlowy; jarmark w okolicy właśnie był powodem tych zabiegów; wózki naładowane czapkami, skórkami baraniemi defilowały przed mojem oknem, leniwy mołdawianin gardłowym głosem zapędzał rozłażące się po ulicy woły, błysnęło światełko z naprzeciwka w szyneczku i już wierni zwolennicy wódki, suto się częstowali tym napojem, ale w milczeniu, bez gwaru, bez piosnki, bez kłótni—słowianin od wódki przechodzi do wynurzeń, przyjaźni a czasem do bitki,

mołdawianin umie się także upić, ale na to tylko by się potem zwalić pod ławę.

Ze wschodem słońca wyruszyłem w dalszą drogę—zbliżałem się ku Prutowi, który stanowi tu granicę państwa—jechałem po płaszczyźnie—był to rodzaj łąki, ubranéj w zieloność przetkaną pękami kwiatów polnych... prześlicznie step wyglądał wśród wschodzącego słońca, cisza na nim do zachwytu i modlitwy usposabiała — nie myślę was jednak miłe czytelniczki nudzić idyllą, chcę być zajmującym, chcę się podobać, zwykła to wada starych kawalerów—więc lepiéj opowiem wam świeże zdarzenie. Pośród téj łąki tak piękne nasuwającéj marzenia, mieszkali ludzie wcale nie marzycielskich usposobień; widzicie o kilkadziesiąt kroków od drogi, w rozdole ubogi młynek, a obok na pół rozwalone domostwo—w niem to mieszkali fałszerze pieniędzy, przed kilką miesiącami, przypadkiem odkryci przez władzę, a przypadek ten reprezentuje, ładna i młoda kobieta. Oto jak było: dzierżawca młynka p. P., przybłęda, nieznany dotąd w tych stronach, mieszkał w chacie przy młynku; dziwnem się wszystkim zdawało, że człowiek na tak mizernéj dzierżawie, za każdem zjawieniem się w miasteczku rozsypuje dużo pieniędzy papierowych, pije, robi spore i kosztowne zapasy żywności, przegrywa w karty i t. d., ludzie zwalali to na dziwactwo; podobnych dziwaków, mieszkających *w odajach* (chatach na stepie), a jednak bardzo bogatych, tu pełno... p. P. miał stosunki zażyłości z braćmi M., poddanemi pruskimi, którzy znani byli w okolicy pod ogólną nazwą mechaników, a zajmowali się stawianiem młynów, budowaniem młockarni i t. d., i t. d. Młynarz, kmiéć ubogi, utrzymywał że trójca ta, przepędzała nieraz całe noce w chatce p. P. rzęsisto oświeconéj — co robili? niewiedział, pewno hulali, myślał sobie i szedł do roboty, która także często w noc się przeciągała. Otóż w czasie jednéj z takich wycieczek p. P. spotkał kobietę, młodą, ładną, chwiejkich zasad, i uwiózł ją z sobą do pustelniczéj chatki. Nie wesoło snać było uwiedzionéj, w głuchym stepie, w lichéj lepiance, bo się dała z kolei wykraść jednemu z panów M., między zażyłemi dotąd przyjaciołami zawrzała nienawiść, p. M. z nową bogdanką uciekł do miasteczka, ze nim pogonił p. P., rozpoczęła się kłótnia, koniec jéj był fatalny, jeden drugiemu zarzucał fałszerstwo papierów rządowych, a że przy kłótni byli świadkowie, rzecz więc nie mogła pozostać w ukryciu, w kilka dni kompanja została aresztowana, w chatce znaleziono *corpus delicti*—maszynkę fałszerską, kilka pięćdziesięcio-rublowych banknotów niedokończonych i wszystkie do fabrykacji potrzebne przyrządy... młynek opustoszał, domostwo się wali, dawny jego właściciel w więzieniu, okolica uwolniona od strat, na jakie była narażona przez tych panów. Smutna to rzecz, a jednak stepy bessarabskie posiadają najwięcéj warunków sprzyjających dla tego rodzaju oszustwa, kraj nie zaludniony, lud nie ciekawy i w sobie zamknięty, mnóstwo futorów rozrzuconych po stepie, do których całe lata nikt nie zagląda, dróg handlowych mało, a po prywatnych możesz cały dzień jechać i niespotkać człowieka; kilka dni takiéj wędrówki po stepie bawi, ale dłuższy w nich pobyt nuży, męczy, nudzi, czujesz że bez towarzystwa niepotrafiłbyś żyć na świecie...

A jednak nie tu koniec był naszéj podróży—jeszcze długich parę tygodni wypadało nam przepędzić zdala od rodzinnego ogniska.

---

# ZMIANA ROLI

CZYLI

## NIESPODZIEWANE SWATY.

### KOMEDJA W 1 AKCIE

przez **J. Dobieszewską (Śmigielską).**

(Dokończenie).

### SCENA VII.

HRABINA, MONIKA, STEFAN, ANDRZÉJ.

STEFAN.

Przedstawiam paniom, mego przyjaciela pana Andrzeja Dobryńskiego. (kłaniają się)

HRABINA.

Nie widziałyśmy pana w Warszawie, czy pan bywa w towarzystwie?

ANDRZÉJ.

W jakiem pani?

MONIKA.

I owszem mamo, spotkałyśmy pana u pani Prezesowéj.

HRABINA.

Lecz się pan nie prezentowałeś, a wtedy wszyscy nieznajomi mojéj Monisi się prezentowali.

ANDRZÉJ.

Wybacz pani, że cichy i niezgrabny wieśniak nie stanął w ich rzędzie.

STEFAN.

Nie słuchaj hrabino, potwarzy jakie ten wieśniak sam na siebie będzie ciskał. Lubi on wdzięk we wszystkiem. Domek jego to istne pieścidełko, ogród nie wielki, ale upajający wonią kwiatów.

MONIKA (do Andrzeja).

Pan lubisz kwiaty?

ANDRZÉJ (podchodząc ku niéj do stoliczka na którym leżą książki).

Niezmiernie. (biorąc książki do ręki) Pani dużo czytasz?

HRABINA (siedząc przy drugim stoliczku).

A tak to moja córka, nakupowała sobie pełno polskich książek, bo w naszych stronach, teraz doprawdy że *powarjowali się* na polski język. Nic tylko z Warszawy zapisują polskie guwernantki i polskie książki.

STEFAN.

A pani hrabina, uważałem że najchętniéj mówi po francuzku.

HRABINA.

Nu, ma się rozumieć, kto tylko bywa w towarzystwie.

STEFAN (na stronie).

Biedne towarzystwo, które takiéj francuzczyzny słuchać musi.

HRABINA (do Stefana).

Widział pan broszę i kolczyki które kupiłam w Paryżu? (dzwoni—Klembowska wchodzi) Klembosiu, serce, daj ty mi *mego woreczka.* (Klembowska podaje torbę podróżną)

STEFAN (oglądając broszę i kolczyki).

Przepyszne!

HRABINA.

Prawda, piękne cóż? piętnaście tysięcy franków zapłaciłam, serce, ale trzeba coś poświęcić dla pozycji.

STEFAN (idąc do Andrzeja, który przez ten czas prowadził rozmowę z Moniką).

Zmiłuj że się, idź mówić z matką. (do Moniki) Pani widzę wolisz książki niż klejnoty.

HRABINA (do Stefana).

Chodź no pan, pokażę ci jeszcze coś pięknego, co już tu kupiłam.

STEFAN (wraca do hrabiny).

Obrazek jakiś.

HRABINA.

Jest to widok Naplu, a z tyłu patrz pan, Wizjusz się pali.

MONIKA (zmieszana).

Wezuwiusz, mamo.

HRABINA.

Już to ja tak zawsze z temi polskiemi nazwiskami.

ANDRZÉJ (do Moniki).

Pani nie byłaś we Włoszech?

MONIKA.

Nie byłam—i tak mi pachnie sosna domowa, że nawet dotąd nie zapragnęłam upajać się wonią gajów pomarańczowych.

STEFAN (odchodząc od hrabiny cicho do Andrzeja).

Tyś się uwziął na mnie—ruszaj że do baby!

ANDRZÉJ (także cicho).

Jakże ona ze mną mówić będzie, kiedy ja nie jestem z *towarzystwa.*

STEFAN (do Moniki biorąc książkę).

Pani zapewne...

HRABINA (przerywając).

Dałbyś Pan pokój z temi książkami. Monisiu serce, nudzisz tych panów. (Stefan wraca do hrabiny) Wiesz mi pan, panie Warszycki, książki nigdy tego nie nauczą co podróże. Jedź pan do Paryża, jacy tam ludzie grzeczni to osobliwość, tylko że im zawsze na języku franek a franek. Ja się jednak tym kochanym Paryżem nacieszyć nie mogłam.... pamiętam raz szłam do kościoła *saint-stupide...*

MONIKA (przerywając).

Ś-go Sulpicjusza, mamo.

STEFAN (ze śmiechem na stronie).

Szukała swego patrona. (do Moniki) Pani też zapewne pragniesz wracać do Paryża?

MONIKA.

Bynajmniéj, już trzy razy go widziałam.

HRABINA.

Nie wierz pan, nie wierz; chodziła tam na jakieś lekcje, do których ją zachęcił sam książe...

MONIKA (przerywając).

Czy mama już kazała kupić bilety na teatr?

HRABINA.

Już, serce, wszystko gotowe.

ANDRZÉJ (do Stefana).

I nam trzeba o biletach pomyśleć, bo opera warta słyszenia. (Kłaniają się i odchodzą)

HRABINA (do Moniki).

A ty serce, wyjdziesz ze mną na miasto?

MONIKA.

Pozwól mama, żebym została.

HRABINA.

No siedź z Bogiem, ja taki wyjdę.

## SCENA VIII.

MONIKA, KLEMBOWSKA (późniéj).

MONIKA.

Ta chwilka samotności potrzebną mi była koniecznie, dla skupienia myśli wzburzonych. (siada przy stoliku i opiera głowę o rękę) Jak tu przekonać moją matkę, że miłość i zgoda nie potrzebują pałacu, jak jéj wybić z głowy tego księcia... (głośniéj) Co począć mnie biednéj, kiedy ja tylko płakać potrafię...

KLEMBOWSKA (podchodząc).

Po co płakać panienko, kiedy wszystko dobrze pójdzie... Niech to panienkę nie gniewa, że sługa tak się odzywa, ale ja na łzy panny Moniki patrzeć nie mogę.

MONIKA (ocierając oczy).

Ja przecie nie płaczę.

KLEMBOWSKA.

No to się widzi... ja już dobrze uważała, że panna Monika inna zupełnie od czasu jak pan Stefan Warszycki zaczął u nas bywać, lecz

niech to panienkę nie gniewa, ale to dla niego wielkie szczęście, żeby taką śliczną hrabiankę dostał, a nasza hrabina też zrobi co Monisia zechce. Upatrzyła sobie wprawdzie pani hrabina w Warszawie jednego księcia...

MONIKA (przerywając z rozżaleniem).

Gdzie tam jednego—dziesięciu upatrzyła, tylko szczęściem, że mnie żaden nie chce.

KLEMBOWSKA.

Myślałby kto, że panience trudno postawić na swojem.

MONIKA.

Ja wiem, że mama dobra i kocha mnie, ale...

KLEMBOWSKA.

Widać też, że i pan Stefan hrabinie się podobał, bo już to chwacki kawaler, a grzeczny! zaraz tak się po ludzku z każdym przywita. Pyta mi się dziś: „byłaś na teatrze Klembosiu?... Nie byłam panie.—No to naści na bilet.” I dał mi, kochany pan, sześć niemieckich talarów.

MONIKA (wstając).

Czy moja matka już wyszła?

KLEMBOWSKA.

Już... Czyżbym ja tu tak stała? (słychać dzwonek u drzwi) Ktoś dzwoni. (wychodzi).

MONIKA.

Widzę że poczciwa Klembosia, radaby występować w charakterze mojéj powiernicy.

KLEMBOWSKA (wracając).

Pan Stefan Warszycki prosi o pozwolenie widzenia się z panną hrabianką.

MONIKA.

Wiesz, że mamy w domu nie ma.

KLEMBOWSKA (z uśmiechem).

Tak bardzo prosi.

MONIKA.

Nie zwykłam sama przyjmować.

KLEMBOWSKA.

No to cóż się stanie, że pan Stefan będzie szczęśliwszy od drugich—przecie wart tego.

MONIKA (do siebie).

Ha! niech się to raz skończy. (głośno). Prosić pana Warszyckiego.

KLEMBOWSKA (odchodząc).

Że też to dziewczyny zawsze zdragać się muszą.

## SCENA IX.

MONIKA, STEFAN.

STEFAN (wchodząc do siebie).

Dalipan! nie wiem od czego zacząć.

MONIKA (poważnie).

Cóż mi sprowadza zaszczyt, że po krótkiéj chwili, powtórnie dziś pana oglądam.

STEFAN.

Ej! zmiłuj się pani, porzuć ten ton uroczysty, a odpowiedz szczerze i otwarcie na to, co ci mam powiedzieć.

MONIKA (z uprzejmym uśmiechem).

Najchętniéj, a jeżeli to ma być bardzo długie, to może usiądziemy.

STEFAN.

Pani, widzę, masz ochotę żartować, dla mnie zaś jest to najważniejsza w życiu chwila.

MONIKA.

Nie rozumiem pana.

STEFAN.

Nie mów pani tego, bo się już dawno domyślasz o co rzecz idzie. Ja nawet pochlebiałem sobie, że domyślając się przyzwalasz, że zachęcasz nadzieje moje. Dziś zatem przyszedłem wyraźnie zapytać się pani czy zezwalasz, abym o jéj rękę prosił hrabiny jéj matki?

MONIKA (żywo).

O moją rękę!... żartujesz pan, alboż ja kiedy pana łudziłam w téj mierze?

STEFAN.

Byłaś dla mnie tak uprzejmą...

MONIKA.

Jak dla wszystkich... (po chwili) Mylę się... więcéj jak dla wszystkich, bom oceniała charakter pański i pragnęła w nim znaleść przyjaciela.

STEFAN (tkliwie).

Czemuż nie dozgonnego?... Pani mnie się może boisz, że to ja pustak nie potrafię cię ocenić, uszanować zamiłowań twoich. Mylisz się pani, będziesz robić co ci się tylko podoba. Chociaż cię drudzy nazywają *mądrą*, ja przecież widzę żeś lepsza i czcigodniejsza od wielu.

MONIKA (z trochą ironji).

Pan jesteś zbyt dobry.

STEFAN.

Miałabyś książek tyle, ileby ci się podobało, i gotówbym był nawet ci przyznać że umiesz więcéj odemnie.

MONIKA (z godnością).

Myślisz więc pan, że kobiety dla tego się garną do nauki, żeby od was to poniżające wyznanie usłyszyć? Gruba to i niczem nie usprawiedliwiona pomyłka. Kobiety rade uczcić w mężczyznie wyższość prawdziwą, co większa, to uczczenie jest potrzebą ich duszy. (z natchnieniem) Staje mi w téj chwili na myśli, bohaterska dziewica starożytnych Germanów; ona umie robić bronią, tak, jak najdzielniejsi mężowie, gdy zaś przychodzi rycerz chcący posiąść jéj rękę i serce, ona dumna i niedostępna jak królowa, wyzywa go do walki na ostre, a dopiero pokonana orężem ciska swą broń do stóp rycerza, wołając z miłością: „jam twoja” i zostaje odtąd jego wierną żoną. (do Stefana) Zachowaj to pan sobie w pamięci, a zrozumiesz dzisiejsze kobiety, serce człowieka zawsze jednakie.

STEFAN (na stronie).

Biadaż konkurentom, kiedy dostając odkosza, muszą jeszcze słuchać cytacji z historji ludów barbarzyńskich.

MONIKA.

Pan gniewasz się na mnie?—(wyciągając do niego rękę) Proszę mi darować, ale mogęż obiecać to, czegobym nie dotrzymała?

STEFAN.

Powiedz mi pani, szczerze, kochasz innego?

MONIKA (z godnością).

Tak.

STEFAN.

I ja tego nie widziałem!

MONIKA.

Ufność moja niech będzie panu miarą szacunku, jaki mam dla niego.

STEFAN.

Czy wolno zgadywać przynajmniéj?

MONIKA.

Znasz go pan, kochasz nawet.

STEFAN.

Więc to któryś z przyjacioł moich a doprawdy liczba ich niewielka. Czyżby Zdzisław? (Monika przeczy głową) Jeżeli nie Karol, no to już ślad zgubiłem.

MONIKA.

Tak się to Pan znasz na wartości swoich najlepszych przyjaciół?

STEFAN (patrząc w oczy Monice).

A więc Andrzéj, o tym śmiało powiedzieć mogę, że więcéj wart od tamtych. (Monika milcząc spuszcza głowę) A więc to on...

MONIKA (po chwili z ekzaltacją).

I po cóżbym miała rumienić się tego, z czego jestem pyszna i szczęśliwa!

STEFAN.

Andrzéj—Andrzéj! lecz go pani prawie nie znasz. (do siebie) A to kobiece szaleństwo!

MONIKA.

Widziałam go razy kilka, a znam bardzo dobrze z opowiadania, całą wyższość jego. Ja uczyłam się cokolwiek, ale wiem, że on umie daleko więcéj, ja mam pretensję do stałości w przekonaniach, ale w nim czuję hart moralny, który podbił całą moją istotę. Ach! jeżeli kobietę przyrównywają do bluszczu, który potrzebuje koniecznie silniejszéj od siebie podpory, to jego charakter jest bezwątpienia tą marmurową kolumną, na któréj wśród drogi życia oprzeć się można bezpiecznie.

STEFAN.

Ależ on zdrajca, nic mi o tem nie mówił.

MONIKA.

On?—cóż on sam wie!...

STEFAN.

Jednak pani zdajesz się liczyć na wzajemność.

MONIKA (z uczuciem).

Jedynie tylko mocą téj wiary, że takie przywiązanie musi powstać w dwóch na raz sercach, a zgasnąć może tylko wraz z niemi.

STEFAN.

Cóż pani myślisz począć, bo za Andrzeja ręczę, że się nie posunie do hrabianki.

MONIKA (smutnie).

Byłam tego pewna... (po chwili milczenia, zwraca się do Stefana) Panie Warszycki, jestem bardzo nieszczęśliwa! (po chwili) teraz możesz mi dać dowód że jesteś moim przyjacielem. (wybiega).

SCENA X.

STEFAN (sam).

Ta, ta, ta, przyjacielem, to jest mówiąc wyraźnie, przyprowadź mi Andrzeja, a sam pójdź z kwitkiem. Głupiś Stefanku, djabelnieś się oszukał i... wyekspensował. Karnawał w Warszawie zjadł dwadzieścia tysięcy, w lecie gospodarstwo zaniedbane, podróż do Drezna, sute datki służbie i t. d. i t. d. Z tego wszystkiego dostała ci się szanowna rola swata. (przechadza się) I żal mi dziewczyny co prawda—poczciwe serce! tak mnie jeszcze udobruchała, żebym rad jéj nieba przychylić.

SCENA XI.

STEFAN, ANDRZÉJ.

ANDRZÉJ (żywo).

Nareszcie cię znajduję—powiedziano mi że tych pań nie ma w domu, więc aż tu przybiegłem. Co tu robisz? sam...

STEFAN (do siebie, patrząc się to na Andrzeja to w lustro).

Jeżeli ja nie piękniejszy od niego, to niech mnie... Ale czegóż spodziewać się po pannach, które kawalerów częstują cytacjami z historji starożytnéj? Poczekaj Monisiu.... uschniesz z tęsknoty, bo ja mu nic a nic nie powiem.

ANDRZÉJ (zbliżając się).

Co tobie się stało Stefanie? czy to tak działa upojenie szczęścia? Mówię ci, że cię szukałem, bo przyszła z domu depesza telegraficzna...

STEFAN (żywo).

Zmiłuj się! co się stało?—pewno ten przemierzły fajczarz karbowy, gumno mi podpalił?

ANDRZÉJ.

Zupełnie co innego—dano znać, że dla zaległych kilku rat, Towarzystwo Kredytowe wystawiło dobra twoje na sprzedaż.

STEFAN (skłopotany).

Już, już!... myślałem żem im na jakiś czas gębę zatkał, a potem spłaciłoby się posagiem żony... Co tu począć?

ANDRZÉJ.

A cóż! zatelegrafowałem w téj chwili, rozkazując, żeby wzięli od Bartowskiego moje kilkanaście tysięcy i zapłacili natychmiast Towarzystwo.

STEFAN.

Tyś to uczynił, drogi Jędrusiu! (rzuca mu się na szyję) Niechże ci Bóg płaci! powiem, powiem ci wszystko. Powiem i uszczęśliwię, twoja cnota warta téj nagrody.

ANDRZÉJ.

Co mi masz powiedzieć—lepiéj oddaj pieniądze jak będziesz miał, i kwita. Ja zaś ci powiem to, co mi leży na sercu, że to niegodnie, tak marnować zostawioną przez ojców puściznę, że to wielkim grzechem względem narodu, usuwać się przez nierząd od wła-

sności ziemi, aby ją zostawić na pastwę spekulantom.

STEFAN.

No widzisz—zawsze przecie wezmę żonę z posagiem, toby się załatało.

ANDRZÉJ (z wzrastającem oburzeniem).

Tak żonę, którą uczynisz ofiarą twego marnotrawstwa, którą teraz okłamujesz blichtrem dostatków, żeby potem okraść ją z jéj majątku na korzyść twego zbytkowania, a chcesz jéj życie zatruć kłopotami o chleb powszedni i pełnym goryczy zawodem gdy ten, którego wzięła nazwisko, nie wart będzie jéj szacunku.

STEFAN.

O! to już za nadto panie Andrzeju, kiedyś taki zły, to ci nic a nic nie powiem.

ANDRZÉJ (ochłonąwszy wyciąga do niego rękę).

Daruj zbytecznemu może uniesieniu i żegnaj zarazem Stefanie, bo ty idziesz na teatr, ja zaś wieczornym pociągiem wyjeżdżam.

STEFAN.

Co, co? czy jakie wiadomości z domu?

ANDRZÉJ.

Nic się nie stało, ale tak mi wypada; nie badaj mnie, nie urągaj mi się, niech ci dość na tem będzie żem smutny.

STEFAN (ze współuczuciem).

A czybym nie mógł się dowiedzieć smutku tego przyczyny?

ANDRZÉJ.

Nigdy wiedzieć nie będziesz.

STEFAN.

A gdybym spróbował użyć pewnego balsamu i powiedział ci wszystko co wiem o tobie i o pannie Monice?

ANDRZÉJ (z urazą).

To dziwne Stefanie, że przy najzacniejszem sercu, tak lubisz szydzić ze smutnych i przygnębionych.

STEFAN (przyjaźnie).

Ja z ciebie szydzić Andrzeju? mój Boże! ja się nawet nie domyślałem, że cię tak kocham, kiedy mogę ci wypowiedzieć bez urazy, że kobieta, którą pragnąłem uczynić moją żoną, że Monika ciebie nademnie przekłada.

ANDRZÉJ (gwałtownie).

Cożem ci zawinił Stefanie, że mnie na takie skazujesz męczarnie? chcesz mnie wybadać, lecz cóż ci przyjdzie z wyznania, którego ja sam przed sobą uczynić nieśmiałem. (rzewnie) Miłość tak jak ja ją pojmuję to skarb, rzadziéj jeszcze między ludźmi rozsiany, od materjalnych skarbów. Każdy z nas czuje w głębi serca, że ma prawo kochać i być kochanym, ależ nie każdy się dosłuży u losu tego serdecznego bogactwa...

STEFAN (żartobliwie).

Ależ ty niewdzięczniku, jesteś wybrany na *marmurową kolumnę*, około któréj pragnie się obwinąć *bluszcz*, mający wcale nie zielono w głowie.

ANDRZÉJ (porywczo).

Dość już tego!—winszuję ci żeś wesoły, widać szczęście ci się uśmiecha (chce odejść).

STEFAN (zatrzymując go).

Ale gdzież tam mój kochany, nic mi się nie uśmiecha, ja się wściekam! i żebym cię nie tak kochał, to bym ci pewno w łep wypalił... (Andrzéj wyrywa się i chce odejść) Słuchajże mnie teraz, mówię serio, oświadczyłem się Monice, a ona powiedziała mi bez ogródki, że mnie nie kocha, gdyż ją zajął ktoś, kogo zna więcéj z opowiadania niż z widzenia, którego jednak charakter przedstawia jéj się nakształt *marmurowéj kolumny*, czy coś podobnego. Słowem przyznała mi się otwarcie; że tą podporą którąby ona rada widzieć przy sobie na życia drodze, jest ni mniéj ni więcéj tylko ten co ze mną przyjechał, przyjaciel mój, Andrzéj.

ANDRZÉJ (cisnąc ręce do czoła).

Co mówisz człowieku? powtórz—powtórz niech ci uwierzę, albo...

STEFAN (kończąc za niego).

Albo oszaleję... Ej! nie czyń tego, lepiéj przyjm najserdeczniejsze powinszowania przyjaciela i myśl jak od hrabiny otrzymać rękę jéj córki.

ANDRZÉJ (cały zadumany).

Jéj miłość!... czyżem ja wart szczęścia takiego... Od lat trzech jak poznałem jéj piękną duszę, mimowolnie myśl moja zawsze ku niéj się zwraca, chwytam każde słowo, które z ust jéj wyszłe powtarzają zazdrośni lub zdumieni, śledzę rozwijanie się jéj umysłu, radbym zliczyć jéj serca bicie, ależ spodziewać się żeby ona mnie kochała, nie—nie śmiałem nigdy!

STEFAN.

Widzę że i ty także zająłeś się nią. Nowa moda kochania się prawdziwie, a tu człowiek nadskakuje, wydaje szalone pieniądze żeby się przypodobał i wszystko na próżno! Teraz drogi Jędrusiu nie pozostaje ci jak tylko zadeklamować:

Z pałaców sterczących dumnie,
Zejdź luba do mojéj chatki!

ANDRZÉJ.

Ach! ta niska strzecha mego szlacheckiego dworu czyż będzie godna ją przyjąć? Cóż powiedzą ludzie, że posiadacz kilkunastu włók ziemi tak wysoko sięga?...

STEFAN.

Teraz na mnie koléj oburzać się i tak jak ty niedawno powiedzieć: Tak to kochacie moi panowie, że nie wystarcza wam wasze własne przekonanie, lecz oglądacie się na to co drudzy powiedzą?...

ANDRZÉJ (ciągnąc dalej myśl swoją).

Nie chcę przynajmniéj żadnego posagu, żadnych kroćiów hrabiowskich, ani tych gałganków koniecznych dla światowéj próżności,

które zowią wyprawą. Niech zawita w progi moje strojna jedynie urokiem tego wdzięku, tak nierozdzielnego z całą jéj istotą, a jeżeli mnie kocha, to chleb który znajdzie u mnie i dla niéj wystarczy.

STEFAN.

Wyznaję że twój chleb jest bardzo smaczny i masz go dostatnio, jak na człowieka małych potrzeb, jednak wierz mi Jędrusiu, słodkie ciasteczka z hrabiowskiego posagu bynajmniéj ci nie zawadzą. Idzie tylko oto, aby go dostać; ty nie wiesz co jest matka Moniki. Kobieta niskiego pochodzenia z którą nieboszczyk hrabia w późnéj starości się ożenił, pragnie gorąco wywyższenia dla córki swojéj. Kiedym występował do panny Moniki, popisywałem się przed jéj mamą z różnemi koligacjami bodaj przedpotopowych świetności i tobie muszę ułożyć genealogję w tym rodzaju.

ANDRZÉJ.

Proszę cię, żadnego oszukaństwa! Skromny kawałek chleba, imię uczciwe, serce kochające, składam u nóg Moniki, a jeśli ona przyjmie, matka co ją tak kocha pewno nie odmówi. Lecz pomóż mi tylko przełożyć moje życzenia, bo doprawdy ja nie potrafię nawet ust otworzyć.

STEFAN.

Czy i Monice także nic nie masz do powiedzenia?

ANDRZÉJ (z uniesieniem).

Och! zapewne—wypowiedzieć jak ją kocham nie potrafię nigdy! (z bocznych drzwi okazuje się Monika i dosłyszawszy ostatnie słowa, cofa się).

STEFAN.

Chodźmyż ztąd—ty będziesz dumał o swoich nadziejach, a ja kiedym już zmienił rolę i z konkurenta wyszedł na swata, poszukam téj nieocenionéj hrabiny, żeby ją ostatecznie wybadać.

ANDRZÉJ (wyciągając rękę).

Drogi przyjacielu, dasz mi szczęście całego życia.

STEFAN.

No, no, powiesz mi o tem za lat dziesięć. (wychodzą).

## SCENA XII.

MONIKA (wbiegając).

Słyszałam go—jestem więc kochaną, mój Boże! ja się tak gorąco modliłam o ten najwyższy dar nieba, o miłość jego! (idzie do okna, w długich przestankach mówi): Jaki świat jest piękny!.... poczciwy Stefan.... jak dobrzy są ludzie.... jaka ja szczęśliwa!!!...

## SCENA XIII.

MONIKA, HRABINA, wprowadzone przez STEFANA. (kupczyki składają paczki z towarami i odchodzą).

HRABINA.

Patrz serce, co to jest być znaną—Meyer ofiarował mi kredyt na parę tysięcy talarów, byłby mi dał pół sklepu gdybym chciała. Muszę Państwu pokazać jakiego *pięknego kaftana* sobie kupiłam.

STEFAN.

Gust pani hrabiny wszystkim jest znany.

HRABINA (do Moniki).

Widzisz szczęśliwa jedynaczko, jak to matka myśli o tobie. Ona się doprawdy pod fortunną urodziła gwiazdą, ta moja Monisia. Opływa we wszystko, ledwo pomyśli, a już ma, nie troszcząc się o nic i nie wiedząc nawet zkąd jéj to przyszło. Wyraźnie jak żeby wróżki znosiły jéj dary swoje. Patrz serce, rozpływaj się, klękaj, co za suknię ci kupiłam! (rozkłada suknię przed oczyma Moniki) Ja tobie serce chcę to podarować na urodziny.

MONIKA (z miną pieszczochy).

Kiedy mi się to niepodoba, mamo kochana—ja chcę czego innego.

HRABINA.

Doprawdy! gwiazdki z Nieba? pieszczoszko.

MONIKA.

Chcę kochana mamo, żebyś była dzisiaj wróżką dla mnie i zrobiła mi dar godny nadziemskich istot. Ot tak na przykład, że wszystkie moje życzenia spełnione zostaną.

STEFAN (pół głosem).

A od biedy choć jedno życzenie.

HRABINA.

*Niechaj cię!* ja taki tego uczynić nie potrafię, choćbym ci chciała, serce, nieba przychylić.

MONIKA (całując ją w rękę).

Więc tak mateczko, ułożmy się—dasz mi wolę nieograniczoną na godzinę.

STEFAN.

Choćby na pół, to i tyle wystarczy.

HRABINA.

A to będzie osobliwość widzieć jak ty serce, téj woli użyjesz. (do Stefana) Ot zapisze sobie nowe książki z Lipska i wykupi wszystkie kwiaty z Drezdeńskich rynków.

STEFAN.

Między któremi najwięcéj będzie pomarańczowych i mirtowych.

MONIKA.

Więc zgoda! mamo, mogęż samowładnie rozrządzać moim losem?

HRABINA (całując ją w czoło).

Zgoda, zgoda ślicznotko, rządź jak chcesz przez całą godzinę (do Stefana) tem bardziéj że i tak podobno zawsze mną rządzisz.

STEFAN.

Ja też skorzystam z téj uroczystéj chwili, żeby przełożyć paniom prośbę mego przyjaciela.

HRABINA.

Co? jaką prośbę?

STEFAN (uroczyście).

Przyjaciel mój, Andrzéj Dobryński, dziedzic Babiegomostu z przyległościami (na stro-

nie) bagnisk i trzęsawisk, (głośno) nie śmiejąc się przedstawić sam pani hrabinie, w niepewności jak jego prośba przyjętą będzie, przez usta moje do jej stóp się skłania, błagając o rękę panny Moniki.

HRABINA (z pychą).

Co, co? jakiś Dobryński o moją córkę— oszalał!... Powiedz mi pan, kto rodzi pana Dobryńskiego?

STEFAN (na stronie).

Bezczelna! zapomniała kto ją rodzi.

MONIKA (do Stefana).

Jakże panu wyrażę wdzięczność moją (podchodzi do matki) Teraz matko pozwól mi użyć daru twego i przyznać ci się zarazem, że ja pana Dobryńskiego choć widziałam tylko kilka razy, znam zdawna z rzadkiéj szlachetności postępków, z życia napiętnowanego rozumem i zacnością i że jego obrałam sobie (z przyciskiem) za *księcia*, który panować będzie w sercu mojem.

HRABINA (siadając).

Ach! ja nieszczęśliwa!... gubi się... romanse, romanse!... w sercu książe, a w istocie hołysz... (gwałtownie) Nie pozwolę... nie pozwolę, klnę się na...

STEFAN.

Uspokój się pani.

HRABINA (gniewnie).

A kto to pana prosił wyjeżdżać z takiemi oświadczynami hę? a przystoiż to panu który masz choć jedną ciotkę hrabiną!... (do Moniki) Monisiu serce, prawda że to żart tylko, że ty i teraz odpowiesz tak jak już nie jednemu „jak mama zechce" a ja go z kwitkiem odprawię, ta i koniec.

MONIKA.

Nie, tak nie powiem teraz mamo droga, bo ja kocham Andrzeja.

HRABINA (przechyla się na poręcz).

Ach! umieram, umieram! ona śmie powiedzieć że go kocha.

STEFAN (trzeźwiąc ją z Moniką).

Pani hrabino, czy to się godzi?

HRABINA.

Ha! córka mnie chce zabić!!!

MONIKA (klękając przy matce).

Słuchaj mnie, matko, nie pójdę za Andrzeja bez błogosławieństwa twego, ale przysięgam ci tu, w téj bolesnéj chwili, że za nikogo innego nie pójdę. A jeżeli umrę młodo, jeżeli uśmiech nie postanie na mojéj twarzy, ty matko powiesz sobie, żeś zabiła szczęście moje.

STEFAN.

Tak, tak—i pani nie tylko córki, ale nawet wnuczki księżną mieć nie będziesz.

HRABINA.

Wnuczka... gdyby przynajmniéj wnuczka moja...

MONIKA (ciągle klęcząc).

Jak go poznasz matko, to go pokochasz jak syna. O! jaką radość czułabyś w sercu patrząc na nas żyjących w zgodzie i miłości, w miluchnym wiejskim domku... (powstaje).

STEFAN.

Tak, tak—wśród woni kwiatów i rozkosznego pisku sześciorga przynajmniéj potomków.

HRABINA (mięknąc).

Ależ on nawet nie bogaty jest, ten pan Dobryński.

STEFAN.

Za to panna Monika będzie bogata.

HRABINA (gniewnie).

Kto to panu powiedział? Ja mam interesa, obowiązki wysokiéj pozycji i nie mogę dać teraz mojéj córce więcéj jak sto tysięcy.

STEFAN (na stronie).

A tobył bym się złapał!... liczono ją przynajmniéj na pół miljona... Nie było doprawdy za czem lecić aż do Drezna. (głośno) No, to ręczę panią że Andrzéj ma drugie tyle.

MONIKA.

Tem lepiéj że nie jestem bogata—tem samem jestem bliżéj niego.

HRABINA.

Czyli bliżéj nędzy.

STEFAN (do siebie).

Teraz czas sprowadzić szczęśliwca, który przyjdzie już do gotowego (wychodzi).

MONIKA (do matki).

Mamo droga, rozjaśnij twoje czoło, powiedz mi, że się już nie gniewasz i że mi pobłogosławisz. Czy nie mówiłaś mi zawsze, że szczęście moje, jest twojem szczęściem?

HRABINA (z westchnieniem).

Och! pieszczotko — widzę tylko że wola twoja jest zawsze moją wolą. Niech się więc stanie jak pragniesz!... (po chwili) A przynajmniéj pamiętaj, żebyś mi choć córkę za familjanta wydała.

STEFAN (prowadząc Andrzeja do hrabiny).

Oto jest człowiek, który nie śmie wierzyć szczęściu swemu. Pani hr. zapewne znała jego cioteczno stryjeczną kuzynkę, która była za ks: Czetwertyńskim?

HRABINA (uprzejmie do Andrzeja).

Za którym? za Romanem, czy za Ludwikiem?

STEFAN (na przodzie sceny mówi, podczas kiedy Andrzéj nieco w głębi kłania się i odpowiada kobietom).

Wszyscy kontenci, uśmiechają się wesoło, tylko ja, nieborak pozostałem z arbuzem i z dwoma ratami Towarzystwa nie zapłaconemi.

K O N I E C.

Pisałam dnia 28 Grudnia 1858 r.

# Dodatek do Zeszytu XXIV, Kółka Domowego 1867.



## Objaśnienie drzeworytu.

*Dziewczynka 6cio letnia.* Kapelusz z białem piórkiem, niebieski, w kształcie toczka. Suknia krajana z jednéj sztuki ze stanikiem, ale tak obszerna w spódniczce, że się prawie fałduje; zapina się na przodzie z boku rodzajem rabatu przedłużonego do samego dołu jak ornat, a otoczonego w około wypuszczeniem z czarnego aksamitu i tuż obok naszytego białym sznurkiem. Podobnież czarno i biało obszyte patki, w których każdym końcu idącym do środka jest guzik, zdający się przytwierdzać przód ten do sukni. Rękawy stosownie przystrojone, buciki węgierskie z kutasami.

*Chłopczyk od 8 do 10 lat.* Kapelusik fioletowy z piórem bażanta. Bluzka czarna przymarszczona koło figury pasem skórzanym. Pantalony szerokie, zwieszające się po za miejsce w którem są przytwierdzone do kolan.

*Dziewczynka 3-cio letnia.* Sukienka z białéj alpagi, na niebieskiéj spódniczce. Przód niebieskim sutaszem naszyty udając długie klapy od kieszeni. Pasek i staniczek mocno wycięty, obszyte po dwóch stronach pliskami niebieskiemi, jak dolna spódniczka, która ładnie wygląda gdy ma u dołu kilka zakładek lub szlak wyszyt, białym sutaszem.

## Objaśnienie tablicy rysunków.

1. Przód kaftana dla osoby dorosłéj, zlobny pasem wyciętym w zęby z jedwabnéj materji i wypukłym haftem.

2. Połowa pleców tegoż kaftana.
3. Połowa rękawa.
4. Krzyżyk z aksamitu na szyję, można go zrobić z aksamitu kolorowego lub czarnego, stosownie do sukni.

Aksamitka do któréj ma być przytwierdzony, powinna mieć szerokości jeden a długości 80 centimetrów.

Sposób zrobienia: Ukrajać z cienkiéj karty dwa razy foremkę oznaczoną Nr. 4,. potem dwa razy tęż foremkę z aksamitu, z tą różnicą, że przypuścić należy aksamitu do koła na dość szerokie założenie. Do zrobienia spodniéj części, dość jest okleić mocno gumą arabską jednę z foremek kartowych foremką aksamitną (uważając żeby nie splamić,) poczem zbywające brzegi ponacinać w kilku miejscach i okleić jak widzimy na wzorze numerem 5 oznaczonym.

Zwierzchnia część krzyżyka wykonywa się w ten sposób: drugą pozostałą foremkę aksamitną podwatowywa się z lekka, ażeby była wypukłą, poczem kładzie się na drugą kartową foremkę, okleja brzegami jak pierwszą; po wyschnięciu obie części skleić należy razem, a otrzymamy bardzo ładny krzyżyk, płaski ze spodu a wypukły z wierzchu. Do zawieszenia takiego krzyżyka na aksamitce, potrzebne jest jeszcze małe metalowe kółeczko które obrobić należy jedwabiem tegoż co krzyżyk koloru, sposobem szydełkowym. Nr. 6. Całość krzyżyka. W tenże sam sposób robić można serca, gwiazdy i medaliониki jak foremki Nr 7, 8, 9, 10, i 11tym oznaczone wskazują, ozdabiając perełkami białemi lub czarnemi.

12. Połowa kamaszy.
13. Pasek od kamaszy do zapinania na guziki.
14. Strzemiączko od kamaszy.
15. Całość kamaszy.
16. Wzór ozdobienia halki.
17, 18, 19, 20, 21, 22, litery do rozmaitego użytku.
23. Całość taboretu.
24. Na pokrycie taboretu użyć trzeba czarnego sukna lub repsu. Paski idące w prostéj linji, naszyte są jedwabną plecionką koloru niebieskiego (bleu mexique) i przydziergane z obu stron, bardzo rzadko. kordonkiem koloru pomarańczowego, punkciki jasno żółte, plecionka z wierzchu poszytą pąsowo. Deseń grecki jest z sutaszu pąsowego, poprzeszywany podług wzoru białym kordonkiem. Koła i arabeski pomiędzy dwoma kołami powycinane z białego sukna, są przydziergane z obu stron niebieskim kordonkiem; prążki na nich pąsowe, punkciki czarne. Figury w środku jednego koła i liście podłużne między arabeskami, z sukna pąsowego, przydziergane białym kord: prążki czarne, punkciki białe, kwadracik w środku z białego sukna, przydzierganу. Gałązki w całym deseniu pomarańczowe, gwiazdki przy nich jasno żółte. W drugiem kole 4 liście z pąsowego sukna, desenik z brzegów wyszyty białym kord: w środku czarnym. Wszystkie figury dokładnie podług deseniu należy z sukna wycinać i we właściwem miejscu ma sukno lub reps za pomocą gummy arabskiéj przykleić, uważając aby z wierzchu nie splamić, następnie wykonywać naszycia.
24 i 25 Narożniki do chustek.
26 i 27 Szlaczki.

---

## Strona druga tablicy.

1. Kaftanik domowy dla dziewczynki od dziesięciu do dwunastu lat; przód kafana.
2. Połowa pleców.
3. Zwierzchnia część rękawa.
4. Spodnia część rękawa.
5. Połowa kołnierza.
6. Całość kaftanika, do ozdobienia go potrzebny jest galon jedwabny do koła i grelotka szmuklerska czarna.
7. Wzór wyszycia halki na pąsowym tybecie czarną plecionką cztery razy, i sutaszem.
8. Szlak sutaszem na sukienkę dziecinną.
9, 10, 11. Narożniki do chustek.
12. Całość przykrywki na lampę.
13. Dama w sukni z dwóch odcieni: spodnia suknia jasno fijałkowa ma do koła wypuszczenie z tejże saméj materji na zeszycie każdego bryta oraz po trzy guziki tegoż koloru idące do góry.

Chusteczka Marji Antoniny skrzyżowana na piersiach jest z tejże samej materji co spodnia spódniczka; zwierzchnia suknia jest także fijołkowa ale znacznie w ciemniejszym kolorze, z wypuszczeniem do koła wykrojona w czworograniaste zęby, na głowie przópaska z aksamitu czarnego posiana dżetem i ozdobiona grelotką.

14. Litery do znaczenia.

15. Forma krynoliny ze stalką spadającą ku dołowi.

# O UBIORACH.

Otóż i zaczynają wyrabiać coraz to większe kołnierzyki tak z płótna jak z koronki i gotoweśmy nosić nie długo takie olbrzymie kołnierze, jak ten który ma śp. Hofmanowa na wizerunku, który był niedawno umieszczony w Kółku Domowem, cieszmy się jednak że do tego dotąd nie przyszło, bo że taka duża wyłoga biała otaczająca szyję nikomu nie jest do twarzy, to więcéj niż pewno. Stanowią tu tylko wyjątek bardzo ażurowe kołnierzyki z koronki lub tak zwanych friwolitek. Tymczasem przygotowują kołnierzyki takie, jakie były noszone dotąd, ze spadającemi na przód końcami, ozdobionemi haftem lub medalionem z koronki, robią je także otoczone w około obrębkiem czyli pliską, przedzieloną od kołnierza ażurkiem, jakie to niegdyś robiono i taki kołnierz musi się dobrze na plecy wykładać; noszą przytem zawsze stojące kołnierzyki i nawet dziergane w małe ząbki mające w pośrodku drobny rzucik, co wcale ładnie wygląda. Do stojącego kołnierzyka konieczną jest krawatka kolorowa, lub jeszcze modniejsza jakeśmy to już pisali, biała muślinowa z kokardką nie rozchodzącą się w szerz, ale tworzącą dwa pukielki w górę, objęte jednym mniejszym pukielkiem u osady, z którego dopiero rozchodzą się dwa końce równe, lub rozszerzające się, obszyte koronką lub haftowane w tym rodzaju, jak przy zeszłym poszycie podaliśmy. Są takie krawatki u pani Włodkowskiéj w cenie 4 rubli.

Dodajemy że mankiety do wspomnionych kołnierzyków, robią się zwykle z klapą nie wykładaną, sztywną, zapinającą się na 3 lub 4 płócienne guziki. Wszystkie inne, zbyt świecące wychodzą z mody.

Klapy zapinane, tylko że na duże, i ozdobne guziki, dają także przy rękawach od sukni, szczególniej na zimę lub dla osób starszych, wtedy nie ma już białego mankietu, tylko pokazuje się z pod rękawa szlarka haftowana lub koronkowa. Widzieliśmy takie rękawy przy sukni zupełnie gładkiéj, wełnianéj, które u góry tworzyły bufę, szerokiemi płaskiemi fałdami przyczepioną do pachy, a więc nie zbyt podnoszącą się w górę, a raczéj spływającą ku łokciowi.

Drugą nowością wznowioną (bo któż tego nie zna?) są rękawy przemarszczane od góry do dołu w cztery bufy. Ma się rozumieć że najmniejsza jest przy ręku, pomiędzy każdą zaś przechodzi pliska atłasowa lub aksamitna, jeżeli przy jedwabnéj sukni, lub zwyczajna jedwabna jeżeli suknia jest z wełnianéj materji. Podobnież plisy: tylko nieco szersze, dają się u dołu sukni po nad ukośną, mało co szerszą jak ręka falbanką. Jest to wystrój sukni nie rażący i w dobrym guście. Rękawy podwójne dają często, szczególniéj do sukien z materjałów cięższych. Pod spodem są wązkie, opięte, na wierzchu zaś szerokie rozwarte, które nazywają *wschodniemi* gdy są u dołu czworograniaste, *żydowskiemi* zaś gdy się spiczasto kończą. Czasem wystrój

stanika udaje jakby na nim był krótszy kaftanik i te zwierzchnie szerokie rękawy należały do tegoż. W pierwszym poszycie naszego pisma na rok przyszły, damy rysunek takiego wystroju, skromnego a gustownego, który nadzwyczaj łatwo naśladować w domu.

Atłasy pokazują się nietylko w strojniejszych ubraniach, ale i na ulicy w sukniach do ziemi i wtedy są zwykle ciemnych kolorów, kolory jasne są używane do stroju i wtedy taka suknia powłóczysta ubrana koronką, niezmiernie piękną stanowi toaletę. Widzieliśmy w tych czasach z białego atłasu suknię ślubną, niezmiernie powłóczystą, zupełnie gładką, tylko opaska z kwiatu pomarańczowego zczepiona bukiecikiem spadała z jednego boku, aż do połowy spódnicy, z niedbałością wdzięku pełną. Naszyjnik i bransoletki były misternie ułożone z pączków kwiatu pomarańczowego.

Suknie z cienkiego sukna bardzo używane; wyznać należy że niezmiernie materjał ten jest stosowny do dzisiejszego kroju. Na jednéj takiéj sukni z niebieskiego sukienka, uważaliśmy dwie plisy z czarnej jedwabnéj materji, a w pośród każdéj z nich szedł warkocz z czarnego atłasu. Tak samo ubrany był paletocik okrągły z tyłu, z przodu zaś przedłużony w kształcie stuły. Wyszywania różnych deseni sutasem wracają się i pięknie wyglądają na suknie. Jakkolwiek noszą suknie krótkie o jednéj spódnicy, lub tylko udając drugą za pomocą garnirowania, to jednak druga spódnica zlekka podpięta na spodniéj, daje ubranie wdzięczniejszego rysunku, bo nie tak sztywne jak suknia pojedyńcza krótka, opięta na krynolinie.

Przytoczemy tu jeszcze suknię balową, którą widzieliśny w tych dniach wyprawianą na wieś, na jakąś świąteczną uroczystość. Spódnica z niebieskiéj lekkiéj materji, miała zwierzchnią suknię białą tiulową, któréj każdy bryt trochę przymarszczany na każdym szwie, lekko się bufował tworząc u brzegu płaskie łuki. Każde przymarszczenie było przykryte wzdłuż szwa plecionką srebrną, a zakończone u dołu tiulowéj spodnicy bladą różą ze srebrnemi liściami. Na białym staniku była niebieska draperja przepinana różami i srebrną plecionką. Do włosów jedna róża równie blada ze srebrnemi liściami.

---

## PRZEPISY GOSPODARSKIE.


### Farba zielona do malowania krat żelaznych lub drewnianych na zielono.


Pociągnąć przedmiot przeznaczony do malowania węglanem ołowiu. Gdy wyschnie, pociągnąć glinką zieloną (dostanie w składzie aptecznym) zmieszaną z węglanem ołowiu. Do funta glinki wystarcza pół funta węglanu, wreszcie zależy od upodobania. W końcu pociągnąć lakierem.

### Lakier Chiński.

Funt octu tęgiego winnego, pół funta oczyszczonéj terpentyny, wenecką zwanéj; dwie uncje sandaraku w proszku. Wszystko to włożyć w garczek dobrze polewany, przykryć pokrywką, kładąc wierzchnią stronę onéj wewnątrz garczka; oblepić ciastem dobrze i położyć na pokrywce ciężarek. Przystawić do ognia i niech się gotuje godzinę lub mniéj trochę. Odstawiwszy, nie odkrywać póki nie wystygnie: wlać w butelkę i dobrze zakorkować. Jeżeli potrzeba, można zaraz użyć.

Gdy w użyciu straci polor lub zżółknie, trzeba przedmiot lakierowany zakopać w śnieg, gdy tak przez noc poleży blask i kolor odzyska.


KÓŁKO DOMOWE.
Elisabeth
Stine
Josephine
Frieke


Nro. 1.
Nro. 2.
Nro. 3.
Nro. 4.
Nro. 5.
Nro. 6.
Nro. 7.
Nro. 8.
Nro. 9.
Nro. 10.
Nro. 11.
Nro. 12.
Nro. 13.
Nro. 14.
Nro. 15.
Nro. 16.
Nro. 17.
Nro. 18.
Nro. 19.
Nro. 20.
Nro. 21.
Nro. 22.
Nro. 23.
Nro. 24.
Nro. 25.
Nro. 26.
Nro. 27.
Nro. 28.
Nro. 29.
Nro. 30.
KÓŁKO DOMOWE.

## SPIS PRZEDMIOTÓW.



---

## WARUNKI PRENUMERATY:

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| Z przesyłką pocztową. . . . . | Rocznie . . . | złp: 40 gr: — | rs. 6 kop: — |
| | Półrocznie . . | „ 20 „ — | „ 3 „ — |
| | Kwartalnie . . | „ 10 „ — | „ 1 „ 50 |
| Bez przesyłki . . . . . . . | Rocznie . . . | złp: 33 gr: 10 | rs. 5 kop: — |
| | Półrocznie . . | „ 16 „ 20 | „ 2 „ 50 |
| | Kwartalnie . . | „ 8 „ 10 | „ 1 „ 25 |

Osoby mieszkające w Cesarstwie, a nie odbierające innych pism warszawskich w kopertach, winny dopłacać rocznie Rs. 1 na kopertę; tak samo i mieszkańcy Królestwa zapisujący prenumeratę nie na stacjach loco w Warszawie.

Prenumerować można na stacjach i Urzędach pocztowych, tudzież w Warszawie w Biurze Ekspedycji Gazet we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism perjodycznych, oraz w Redakcji Kółka, przy ulicy Mazowieckiej w domu hr. Ostrowskiego pod Nrem 1352. w Krakowie zaś: w księgarni Friedleina i na wszystkich stacjach Cesarstwa austrjackiego, a w Królestwie Pruskiem także na pocztach, i w Poznaniu w księgarni Żupańskiego.

---

## KORESPONDENCJA.

Panu Wil. z Zakrenicz. Jużeśmy Panu raz donosili, że żadnéj pozostałości pieniężnéj u nas nie ma. Pan w roku zeszłym przysłałeś dwa razy po 14 rubli, na Kółko 3 rs., Tygodnik Illustrowany 6 rs., Wędrowca 4 rs., co policzywszy kopertę półroczną, zupełnie wystarcza, ale bynajmniéj nie zbywa. Teraz, kiedy Pan będziesz miał pismo codzienne (Gazetę Warszawską) koperty na półroku 2 rs. kosztować będą. Więc chociaż pozostają pieniądze z Kmiotka, który nie wychodzi (rs. 1 kop. 45), to przecież jeszcze Pan musisz dopłacić kop. 55, chcąc mieć zaprenumerowane pisma które Pan wymienił.

Pani Z., z Berestia. Pokazywaliśmy list Pani w ekspedycyi gazet, ale tam o żadnych ośmiu rublach przysłanych na kotmierzyki nie wiedzą i znajdują słusznie, że robienie takich sprawunków nie może być zatrudnieniem bióra rządowego, żadnych więc pieniędzy nam nie oddali, my zaś odebraliśmy rubli sześć z listem.

---

## OD REDAKCJI.

Zapewniamy Szanownych Prenumeratorów, że Kółko Domowe, z naszéj drukarni regularniéj niż dotąd wychodzić będzie. Kalendarze jako premium, dla prenumeratorów rocznych na stacjach, będą wysłane w bieżącym miesiącu, po zawiadomieniu nas przez Ekspedycję Gazet, że już wniesiona opłata roczna. Prenumeratorzy z Cesarstwa i z Warszawy, chcąc otrzymać Kalendarz, winni nadesłać pieniądze wprost do Redakcji.

**Redakcja przy ulicy Mazowieckiej Nr 1352 lit. B., gdzie wszystkie listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy.**

Cena pojedynczego poszytu *Kółka Domowego* wynosi kopiejek 22½.

---

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Warszawa dnia 19 (31) Grudnia 1866 r.

## SPIS PRZEDMIOTÓW.



---

## WARUNKI PRENUMERATY:

| | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Z przesyłką pocztową . . . . . | Rocznie. . . . | złp: | 40 | gr: | — | rs. | 6 | kop: | — |
| | Półrocznie . . | „ | 20 | „ | — | „ | 3 | „ | — |
| | Kwartalnie . . | „ | 10 | „ | — | „ | 1 | „ | 50 |
| Bez przesyłki . . . . . . . . | Rocznie. . . . | złp: | 33 | gr: | 10 | rs. | 5 | kop: | — |
| | Półrocznie . . | „ | 16 | „ | 20 | „ | 2 | „ | 50 |
| | Kwartalnie . . | „ | 8 | „ | 10 | „ | 1 | „ | 25 |

Osoby mieszkające w Cesarstwie, a nie odbierające innych pism warszawskich w kopertach, winny dopłacać rocznie Rs. 1 na kopertę; tak samo i mieszkańcy Królestwa zapisujący prenumeratę nie na stacjach lecz w Warszawie.

Prenumerować można na stacjach i Urzędach pocztowych, tudzież w Warszawie w Biurze Ekspedycji Gazet we wszystkich Księgarniach i Kantorach pism perjodycznych, oraz w Redakcji Kółka, przy ulicy Mazowieckiéj w domu hr. Ostrowskiego pod Nrem 1352. w Krakowie zaś: w księgerni *Friedleina* i na wszystkich stacjach Cesarstwa austrjackiego, a w Królestwie Pruskiem także na pocztach, i w Poznaniu w księgarni *Zupańskigo*.

---

### ROKESPONDENCJA.

Panu Wil. z Zakrenicz. Jużeśmy Panu raz donosili, że żadnéj pozostałości pieniężnéj u nas nie ma. Pan w roku zeszłym przysłałeś dwa razy po 14 rubli, na *Kółko* 3 rs., *Tygodnik Illustrowany* 6 rs., *Wędrowca* 4 rs., co policzywszy kopertę półroczną, zupełnie wystarcza, ale bynajmniéj nie zbywa. Teraz, kiedy Pan będziesz miał pismo codzienne (*Gazetę Warszawską*) koperty na półroku 2 rs. kosztować będą. Więc chociaż pozostają pieniądze z *Kmiotka*, który nie wychodzi (rs. 1 kop. 45), to przecież jeszcze Pan musisz dopłacić kop. 55, chcąc mieć zaprenumerowane pisma któreś Pan wymienił.

Pani Z., z Berestia. Pokazywaliśmy list Pani w ekspedycyi gazet, ale tam o żadnych ośmiu rublach przysłanych na kołnierzyki nie wiedzą i znajdują słusznie, że robienie takich sprawunków nie może być zatrudnieniem bióra rządowego, żadnych więc pieniędzy nam nie oddali, my zaś odebraliśmy rubli sześć z listem.

---

## OD REDAKCJI.

Zapewniamy Szanownych Prenumeratorów, że Kółko Domowe, z naszéj drukarni regularniéj niż dotąd wychodzić będzie. Kalendarze jako premium, dla prenumeratorów rocznych na stacjach, będą wysłane w bieżącym miesiącu, po zawiadomieniu nas przez Ekspedycję Gazet, że już wniesiona opłata roczna. Prenumeratorzy z Cesarstwa i z Warszawy, chcąc otrzymać Kalendarz, winni nadesłać pieniądze wprost do Redakcji.

**Redakcja przy ulicy Mazowieckiej Nr 1352 lit. B., gdzie wszystkie listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy.**

Cena pojedynczego poszytu *Kółka Domowego* wynosi kopiejek 22½.

---

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.—Warszawa dnia 19 (31) Grudnia 1866 r.